



1347

# PRZEGLĄD TYGODNIOWY

---

DODATEK POPULARNO-NAUKOWY.

(BEZPŁATNY).

pod redakcją

Adama Wiślickiego.

PÓŁROCZE DRUGIE 1902.

11957  
B.P. im. Ł.

WARSZAWA.

Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego.

1902.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 10 Декабря 1902 г.



## Spis Artykułów.

zawartych w Dodatku Popularno-Naukowym w półroczu  
drugim 1902.

---

### NAUKI FILOZOFICZNE.

Dr. I. Thomayer „Wpływ cywilizacji na nerwy człowieka”, odczyt, przełożyła J. Kietlińska-Rudzka, str. 21 i 65.

Wundt. Wstęp do filozofii, przez A. Schiefmana, str. 155 i 185.

### NAUKI PRZYRODNICZE.

Zadania chemii współczesnej, z T. W. Clarcke'a przełożyła Zofia Joteyko-Rudnicka, str. 216.

### NAUKI EKONOMICZNE.

Przebieg kryzysu ekonomicznego, przez H. Forsztetera str. 53.

Tomasz E. Will. Trust, przekład M. P., str. 221.

Z ekonomicznych dziejów Polski, przedstawił E. Chwałewik, str. 298.

### KWESTYE SPOŁECZNE.

Kwestya kobieca w świetle ostatnich danych statystycznych, przez dr. M. Bernsterinową, str. 58.



## L I T E R A T U R A .

Feliks Hollaender (sylwetka literacka), str. 37.

Piotr Altenberg, str. 170.

Sprawy i piśmiennictwo polskie w publicystyce rosyjskiej, przez M. O., str. 241.

## S Z T U K I P L A S T Y C Z N E .

William Morris. Nadzieje i troski sztuki. Wykład czwarty: Jak z istniejącego stanu rzeczy stworzyć najlepszy, str. 1.

Eugeniusz Carrière, studjum przez Adolfa Baslera, str. 45

Manggha, przez Adama Cybulskiego, str. 270.

## P O W I E Ś C I I D R A M A T Y .

Nowe dramaty Artura Schnitzlera:

I. Godziny Życia, str. 4.

II. Kobieta ze sztyletem, str. 84.

III. Ostatnie maski, str. 104.

IV. Literatura, str. 125.

Edwin Arnold „Światło Azyi“, księga piąta, z angielskiego przełożył Wojciech Szukiewicz, str. 198.

Nowy eliksir prof. Gibourne'a, fantastyczne opowiadanie Welsa, przekład R. C., str. 249.

## V A R I A

Mowa Anatola France'a nad grobem Emila Zoli, str. 178.

## S P R O S T O W A N I E .

W niektórych egzemplarzach, przez przeoczenie, wydrukowano na str. 249 błędnie nazwisko autora, znanego fantasty Welsa, co należy poprawić.

**PRZEGLĄD TYGODNIOWY**

Dodatek popularno-naukowy

(BEZPŁATNY).

**Nowy eliksir profesora Gibburne'a.  
Fantastyczne opowiadanie Wales'a.**

Jeśli można wogóle powiedzieć o kimś, że szukając szpilki, znalazł złotą monetę, to szczęśliwcem takim był niewątpliwie przyjaciel mój, profesor Gibburne. Niejednokrotnie zdarzało mi się słyszeć o niezwykłych wynikach, osiągniętych drogą badań, wszystko to jednak było niczem w porównaniu z wypadkiem, jaki mam zamiar opisać. By najmniej nie przesadzę, utrzymując, że tym razem wynalazł on coś takiego, co niewątpliwie wywołać powinno przewrót w życiu ludzkości. — Stało się to zupełnie przypadkowo, w chwili, kiedy dokonywał prób nad wynalezieniem środka pobudzającego, który dodałby ludziom wątłym i niedokrewnym sił do znoszenia wzruszeń, nieodłącznych od naszego gorączkowego i nerwowego życia. Nieraz miałem okazję wypróbowania na samym sobie skutków owego „eliksiru“, mogę więc opowiedzieć, w jaki podziałał on na mnie sposób. Opowiadanie moje przekona was, że przed ludźmi, szukającymi nowych wrażeń, stoi jeszcze otworem cały świat zdumiewających zjawisk.

Prof. Gibburne jest, jak wiadomo, sąsiadem moim z Folkestown'u. O ile nie zawodzi mnie pamięć, pismo ilustrowane „Strand Magazine“ zamieszczało kilkakrotnie jego

portret, zdaje się w końcu 1899 r., czego sprawdzić nie mogę dla tej prostej przyczyny, że pożyczyłem komuś cały rocznik i nie otrzymałem go z powrotem. Czytelnik przypomina sobie może wysokie, obnażone czoło i niezwykle wielkie, czarne brwi, nadające twarzy jego podobieństwo do oblicza Mefista. Zamieszkuje on jedną z tych ładnych will w mieszanym stylu, którym zachodnia część górnej Sandgate'skiej drogi zawdzięcza swój widok malowniczy; otóż jego domek ma spiczasty flamandzki dach; portyk zaś w stylu maurytańskim.

Pracownią jego w tej siedzibie jest maleńki pokój z niszą, gdzie spędziliśmy tyle wieczorów na rozmowie i paleniu papierosów.

Ogromny z niego żartowniś, chętnie jednakże mówi też ze mną o swoich pracach; należy do tych ludzi, dla których rozmowa jest bodźcem i zachętą do czynu, dzięki tej więc okoliczności mogłem śledzić narodziny i rozwój w umyśle jego idei „nowego eliksiru“. Rzecz prosta, że główne próby doświadczeń w tej kwestyi dokonywane były przez niego nie w Folkestone, ale przy ulicy Gover, w pięknym nowym laboratorium, które przyjaciel mój sam sobie wybudował w pobliżu szpitala.

Wszyscy wiedzą — a przynajmniej wszyscy ludzie nauki wiedzą — że prof. Gibburne zyskał rozgłośnię i zupełnie zasłużoną sławę jako fizyolog, dzięki przeprowadzeniu badań, dotyczących wpływu lekarstw na system nerwowy. Jest on jednym z najlepszych znawców wszelkich środków nasennych, uspakających i znieczulających. Należy też do wybitnych chemików; co się zaś tyczy badań jego w dziedzinie ośrodków, splotów i włókien nerwowych, drobne jego na tem polu odkrycia mieć będą wielkie znaczenie dla nauki; tymczasem pozostają jednak niedostępne



dla innych, dopóki nie zechce ogłosić drukiem rezultatu swoich prac. W ciągu ostatnich lat zajmował się prof. Gibburne gorliwie kwestyą środków pobudzających czynność nerwów i — zanim jeszcze wynalazł „nowy eliksir“ — udało mu się już osiągnąć poważne na tej drodze wyniki. Medycyna zawdzięcza mu wynalezienie conajmniej trzech, zupełnie różnych i absolutnie niewinnych środków pobudzających, które przyniosły ludzkości korzyść niewątpliwą. Pewien jestem, że w wypadkach zupełnego wyczerpania-ów t. zw. „syrop W. Gibburne'a“ uratował życie znacznie większej ilości ludzi, aniżeli dokonała tego łódz ratunkowa na naszym wybrzeżu.

— „Wszystkie te drobiazgi zupełnie mnie nie zadowalniają“ — powiedział on do mnie mniej więcej przez rok. — „Albo potęgują one energię ośrodkową, nie wywierając żadnego zupełnie wpływu na nerwy, albo też działając podniecająco na energię, osłabiają jednocześnie czynność nerwów. Po za tem działanie ich miejscowe zupełnie bywa różne. Zmuszając do pracy serce i wnętrzności, przytępiamy mózg; działając zaś pobudzająco na mózg, krzywdzimy pierwsze. Chciałbym więc — i o ile tylko będzie to możliwe, postaram się osiągnąć cel zamierzony — chciałbym wynaleźć taki środek, który działałby pobudzająco na cały-pański organizm, od stóp do czubka głowy i kazałby panu żyć dwa, nie, trzy razy intensywniej, aniżeli wszyscy inni. Tego właśnie pragnę.

— Byłoby to zbyt męczące — odrzekłem.

— Bynajmniej! Jadłbyś pan jedynie i pił trzy razy więcej. Pomyśl pan tylko, jakie to będzie miało dla wszystkich olbrzymie znaczenie. Wyobraź pan sobie, że trzymasz w ręku taką flaszeczkę — mówiąc to, wziął z półki małą

zieloną buteleczkę, — i że to naczynie drogocenne zawiera w sobie siłę, która może pozwolić ci myśleć dwa razy prędzej, poruszać się dwa razy szybciej i dokonywać w danym przeciągu czasu dwa razy większej pracy, aniżeli czytniłbyś to pan w zwyczajnych warunkach.

— Czy istotnie możliwym jest coś podobnego?

— Sądzę, że tak; jeżeli się mylę, straciłem rok pracy. Preparaty hypofosfatu np. świadczą o czemś podobnym... Wystarczy nawet, jeżeli środek mój będzie działał półtora raza silniej.

— Najzupełniej, — odparłem.

— Wyobraź pan sobie, że jesteś działaczem politycznym, że czas bieży i że masz spełnić coś szczególnie ważnego...

— Mógłbym w takim razie poczęstować napojem tym prywatnego mojego sekretarza — zauważyłem.

— I w ten sposób zyskać na czasie. Albo też wystaw pan sobie, że chciałbyś jaknajprędzej skończyć książkę.

Co się mnie tyczy, to wprost przeciwnie, żałuję zawsze, że zacząłem ją czytać.

— A wezwany do umierającego lekarz, który musi usiąść i zebrać myśli, wyteńczyć całą pamięć? a prawnik? a człowiek, pakujący do mózgownicy swojej najrozmaitsze wiadomości, potrzebne mu do egzaminu?

— Tacy ludzie powinni opłacać na wagę złota każdą kropkę pańskiego płynu—odrzekłem.

— A podczas pojedynku — mówił dalej Gibburne, — kiedy wszystko zależy od szybkości, z jaką naciśnie pan cyngiel?

— A podczas fechtunku? — odpowiedziałem.

— Widzisz pan więc, że jeżeli uda mi się osiągnąć to, czego pragnę, nikomu nie wyrządę żadnej absolutnie



krzywdy, z wyjątkiem tej, że używający mojego środka przyspieszy o odrobinę swoją starość, w zamian zaś za to przeżyje dwa razy dłużej, niż inni.

— Sądzę — zwróciłem uwagę, że nie byłoby zupełnie uczciwie stosować środek pański podczas pojedynku.

— To rzecz sekundantów — brzmiała odpowiedź.

Słowa jego nie rozproszyły jednak moich wątpliwości.

— Więc rzeczywiście sądzisz pan, że byłoby to rzeczą możliwą? — zapytałem.

— Równie możliwą — odpowiedział mój interlokutor, patrząc przez okno na jakiś przefruwający przedmiot—jak i samochody. Prawdę powiedziawszy...

Zamilkł i patrzył na mnie z uśmiechem, przesuwając zwolna po stole zieloną buteleczkę.

— Zdaje mi się, że znam już skład jego... przyszło mi w tej chwili coś na myśl!

Nerwowy uśmiech na jego twarzy świadczył o ważności tych słów. Rzadko mówił o swojej pracy przed jej ukończeniem.

— Bardzo jest nawet możliwe, bardzo możliwe, że środek ten będzie działał silniej jeszcze, aniżeli dwa razy.

— Będzie to wielki wynalazek — ośmieliłem się zauważyć.

— Tak, sądę, że to będzie wielki wynalazek.

A jednak, zdaje mi się, że on sam nie domyślał się, jakie olbrzymie znaczenie może mieć ten wynalazek.

Od tej chwili często mówiliśmy o nowym środku. Nazywał go on „nowym eliksirem“ i za każdym razem z coraz większą mówił o nim pewnością. Czasem rozprawiał gorąco o nadspodziewanych fizyologicznych wynikach, jakie mogło dać używanie nowego środka, czasem wpadał w zniechęcenie a czasem znów zaczynał zapatrywać się na sprawę całą z praktycznego punktu widzenia — i wówczas

długo i szczegółowo debatowaliśmy na temat korzyści, jakie mógł dać nowy wynalazek.

Można to nazwać dobrym uczynkiem — mawiał Gibburne. — Będzie to coś niezwykłego. Wiem, że obdarzam świat niemającym podarunkiem, uważam więc za rzecz sprawiedliwą, aby świat odpowiednio mnie zań wynagrodził. Nie będzie to żadnem poniżeniem dla nauki, jeśli otrzymam monopol, chociażby na lat dziesięć. Dlaczegoż tylko rzeźnicy mieliby korzystać z całego komfortu życia.

Zaciekawienie moje wobec mającego się dokonać wynalazku nie słabło wcale z biegiem czasu. Lubilem zawsze metafizykę i paradoksy dotyczące czasu i przestrzeni, to też uważałem za rzecz możliwą, że Gibburne jest na drodze do wynalezienia takiego eliksiru, który posiadałby własność przyspieszania wszelkich funkcyj żywotnych. Wyobraźcie sobie człowieka, używającego stale tego środka. Życie jego byłoby niezwykle czynne i niezmiernie ciekawe, jakkolwiek mając lat 11, byłby już dorosłym, doszedłszy do 25-go roku—starym, od trzydziestego zaś chyliłby się szybkim krokiem ku zgrzybiałej starości. Wydawało mi się, że Gibburne odgrywałby w stosunku do ludzi, używających stale jego środka, taką samą rolę, jaką odgrywa natura w stosunku do żydów i mieszkańców wschodu, którzy stają się dorosłymi pomiędzy 10-ym a 15-ym rokiem życia, starcami zaś przed rokiem 50-ym, ale za to w przeciągu tego krótkiego czasu zdołają przemyśleć i przerobić daleko więcej, aniżeli my przez całe nasze życie. Zawsze zdumiewała mnie tajemnicza siła leków. Możecie doprowadzić człowieka do szału, wlać w niego siłę niezwykłą, zrobić go niesłychanie ruchliwym, lub też zupełnie go obezwładnić, stłumić pewną namiętność, pobudzając natomiast inną — i wszystko to za pośrednictwem leków! Te-

raz szereg tych niezliczonych buteleczek, używanych przez doktorów, pomnożył nowy cudowny środek. Co prawda prof. Gibburne zanadto był zajęty techniczną stroną swojego dzieła, aby mózgiem podzielać swój punkt widzenia.

Siódmego czy też ósmego sierpnia, zakomunikował mi on skład chemiczny, od którego zależeć miało powodzenie lub niepowodzenie całego przedsięwzięcia, dziesiątego zaś oznajmił mi, że eliksir jest już gotów. Spotkałem go u stóp pagórka w Sandgate, na drodze do Folkestone, dokąd szedłem, zdaje się, do golarza. Zdaleka już dostrzegłem go, biegnącego naprzeciw. Szedł prawdopodobnie do mojej willi, aby czempredzej zawiadomnić mnie o szczęśliwym rezultacie swojej pracy. Pamiętam, że miał twarz rozpromienioną, oczy jego błyszczały i odrazu zwróciła moją uwagę niezwykła żywość jego ruchów.

— Dzieło dokonane!—zawołał, chwytając mnie za rękę i mówiąc niezmiernie szybko. — Więcej niż dokonane. Chodź pan do mnie—a przekonasz się.

— Rzeczywiście?

— Rzeczywiście! — powtórzył. Nie do uwierzenia. Chodź pan i zobacz.

— I cóż, działanie jego jest dwa razy silniejsze?

— Więcej, daleko więcej. Sam się nie spodziewałem. Chodź pan i przyjrzyj się mojemu płynowi. Spróbuj pan. Niepodobna sobie wyobrazić czegoś takiego!

Ujął mnie za rękę i zaczął biec tak szybko, że musiałem wyteńczyć całe siły, aby mu nadażyć. Krzyczał głośno, biegnąc pod górę.

W tej chwili przejechał koło nas szaraban, naładowany ludźmi, którzy, jak to zwykle bywa, obejrzeni się i zaczęli się nam przyglądać. Był to jeden z tych pięknych, gorących dni, tak często zdarzających się w Folkestone, kie-



dy wszystkie barwy szczególnej nabierają jaskrawości, a zarysy niezwykle stają się wyraziste.

Pomimo lekkiego wietrzyka zrobiło mi się strasznie gorąco, poprosiłem więc mego towarzysza, aby ulitował się nademną.

— Czy naprawdę chodzę za szybko? — zawołał Gibburne, starając się zwolnić kroku i pomimo to maszerując jeszcze energicznie.

— Pewien jestem, że spróbowałeś pan na sobie działania eliksiru — wyjąkałem z wysiłkiem, zaledwie dysząc.

— Nie — odpowiedział. — Co najwyżej kropelkę pozostałej w dzbanku wody, którą zmywałem ślady tego płynu. Wiesz pan, skosztowałem go zeszłej nocy, ale to przecież stara historia.

— No i cóż, czy działa on dwa razy silniej? — zapytałem oddychając swobodniej, stanęliśmy bowiem przed jego domem.

— Tysiąc, kilka tysięcy razy silniej! — zawołał Gibburne. a słowem jego towarzyszył dramatyczny gest, z jakim roztworzył na oścież ciężkie dębowe wrota.

— Uf!... — odpowiedziałem — idąc za nim.

— Sam nawet nie wiem, jaka jest siła jego działania, dodał, ujmując klamkę.

— Więc pan...

— Rzuca on nowe zupełnie światło na fizjologję systemu nerwowego, nadając wyraźne kształty mglistym dotychczas teoryom.... Bogu tylko wiadomo, jaką posiada on siłę. W przyszłości dowiemy się o tem, ale przedewszystkiem, musimy wypróbować na sobie jego działanie.

— Wypróbować? — zapytałem, wlokąc z trudnością zmęczone nogi.

— Tak — odparł Gibburne — odwracając się do mnie,

stał bowiem już przy drzwiach swojego gabinetu. — Mieści się on w tej zielonej buteleczce. Naturalnie, o ile pan się nie lęka.

Jestem z natury mało odważny i lubię niezwykle przygody tylko w teorii. Przyznaję, że porządnie się bałem, ale ambicya nie pozwoliła mi przyznać się do tego.

— I... owszem... bąknąłem niepewnie. — Wszak powiadasz pan, że już skosztowałeś raz?

— Kosztowałem i, jak widzisz pan, nic mi się nie stało. Nie czuję się wcale gorzej i zdaje mi się nawet...

— Daj mi pan parę kropel tego płynu — odparłem — siadając. — W najgorszym razie uwolni mnie to od strzyżenia włosów, czyli jednego z najwstrętniejszych obowiązków ucywilizowanego człowieka. W jaki sposób łykasz pan tę miksturę?

— Z wodą — odpowiedział Gibburne — biorąc karafkę.

Siedziałem na fotelu, on zaś stał przed swoim biurkiem i patrzył na mnie; sposób jego zachowania się przypominał nagle specjalistę z ulicy Harley.

— Wiesz pan przecież, że w skład tego lekarstwa wchodzi arak? — zapytał.

Zrobiłem nieokreślony ruch ręką.

— Przedewszystkiem muszę pana uprzedzić, abyś natychmiast zamknął oczy, skoro tylko połkniesz płyn, potem zaś ostrożnie otworzył je po upływie dobrej minuty, nie wpłynie to bynajmniej źle na pański wzrok. Zmysł wzroku zależy od trwania drgań, nie zaś od ilości wrażeń; zachodzi przy tem jednak coś w rodzaju wstrząśnienia siatkówki, wywołującego nieprzyjemne uczucie zawrotu głowy w chwili, kiedy się otwiera oczy, dla tego należy zamknąć je chociaż na krótko.

— Dobrze — odparłem.

— Nie ruszaj się pan także. Musisz pan pozostać w pozycyi nieruchomej, aby nie uszkodzić czegoś. — Pamiętaj pan, że ruchy pańskie będą tysiąc razy szybsze niż zwykle; serce, płuca, mięśnie, mózg — wszystko to będzie pracowało szybciej i możesz pan uderzyć się, albo stłuc coś, nie zdając sobie z tego sprawy. Rozumiesz pan wszak, że nie będziesz pamiętał o tem. Będziesz pan czuł się zupełnie tak samo jak teraz, tylko wyda ci się, że wszystko na świecie odbywa się tysiąc razy wolniej niż teraz. Na tem polega głównie szczególna właściwość tego eliksiru.

— Boże — jęknąłem — sądzisz pan więc...

— Przekonasz się — odparł, biorąc małą czareczkę. Szybko obejrzał stojące na biurku przedmioty. — Szklanki — szepnął, woda, wszystko jest na miejscu. Na pierwszy raz wystarczy bardzo mała ilość.

Nalał kilka kropel drogocennej zawartości zielonej butelczki.

— Nie zapominaj pan więc o tem, co ci powiedziałem powtarzał, przelewając płyn z czarki do szklaneczki z takim wyrazem twarzy, z jakim włoski służący nalewa whisky. — Siedz pan z mocno zamkniętymi oczami i absolutnie nie ruszaj się w ciągu dwóch minut, dopóki nie przemówię

Nalał do każdej szklanki około cala wody.

— Nie stawiaj pan też szklanki swojej na stole. Trzymaj pan ją w ręku, a rękę oprzyj na kolanie. W ten oto sposób, a teraz...

Podniósł szklankę.

— Za pomyślność „nowego eliksiru“ — zawołałem.

— Za pomyślność „nowego eliksiru“ — odpowiedział.



Trąciliśmy się, wypiliśmy i natychmiast zamkniętem oczy.

Znacie zapewne stan niebytu, w jaki wprowadza nas użycie „gazu“. Wpadłem na nieokreślony przeciąg czasu w podobny stan. Potem, słysząc głos budzącego mnie Gibburne'a, poruszyłem się i otworzyłem oczy. Stał on na tem samem miejscu ze szklanką w ręku. Cała różnica polegała na tem, że szklanka była pusta.

— I cóż? — zapytałem.

— Czy nie odczuwasz pan nic szczególnego?

— Nic. Conajwyżej lekkie uderzenie, po za tem nic.

— Czy słyszysz pan dźwięki?

— Zupełnie jest cicho. — Tak, daję słowo. Zupełnie cicho; nie, w tej chwili dochodzą do mnie słabe jakies szmery, przypominające zaledwie dosłyszalny odgłos spadających kropel deszczu. Co to jest?

— Zdaje mi się — odparł — że są to jakies dźwięki urywane; zresztą nie jestem tego pewien.

— Spojrzał przez okno.

— Czy widziałeś kiedyś firanki, umocowane w ten sposób?

— Zwróciłem oczy we wskazanym kierunku i spostrzegłem firankę, która jakby zawisała w powietrzu z zachylnym brzegiem, w takiej formie, jaką nadał jej lekki wiaterek.

— To dziwne — zauważyłem — nie widziałem nigdy podobnego zjawiska.

— Teraz spójrz pan tutaj — dodał — otwierając rękę, trzymającą szklankę. Drgnąłem, przewidując naturalnie, że szklanka upadnie i stłucze się. Ku wielkiemu zdziwieniu mojemu nie tylko nie stłukła się, ale, jak mi się zdało, nie poruszyła się nawet. Zawisała zupełnie nieruchomie w powietrzu.

— Właściwie — rzekł Gibburne — w naszej szerokości geograficznej przedmioty padać powinny z szybkością sześćnastu stóp w pierwszą sekundę. Tem samym szklanka ta pada z szybkością 16 stóp na sekundę. Cała rzecz polega na tem, że nie padała ona jeszcze ani setnej części sekundy. Daje to panu pojęcie o szybkości działania mojego „eliksiru“.

Mówiąc to, nie przestawał wodzić ręką dokoła szklanki, nareszcie ujął ją za dno i bardzo ostrożnie postawił na stół.

— I cóż pan powiesz? — zwrócił się do mnie z uśmiechem.

— Zdaje się że wszystko idzie doskonale — odparłem, wstając powoli z fotela. Czuję się doskonale, lekko i myśli moje zupełnie były jasne. Czuję, że żyję znacznie szybciej. Serce moje np. uderzało tysiąc razy na sekundę, nie sprawiało mi to jednak najmniejszej przykrości. Spojrzałem przez okno. Nieruchomy cyklista z pochyloną głową i zastygłym w powstrzymaniu, po za rowerem jego, słupem kurzu, daremnie usiłował dogonić unieruchomiony w galopie szaraban. Na widok tego niespodziewanego zjawiska otworzyłem szeroko oczy i usta.

— Panie — zawołałem — jak długo trwa działanie tego dyabelskiego napoju?

— Bóg wie — odparł. — Ostatnim razem, kiedy pojąłem dawkę, położyłem się z tem spać i działanie ustało dopiero podczas snu. Zapewniam pana, że byłem trochę przestraszony. Miało to trwać wszystkiego kilka minut, zdawało mi się zaś, że minęło kilka godzin. Zresztą, po pewnym czasie przestaje on działaćagle, zdaje się.

Dumny byłem z tego, że nie doznawałem najmniejszej obawy. Przypisuje objaw ten jedynie temu, że byliśmy we dwóch.

— Może przeszlibyśmy się? — zapytałem.

— Prawda, możemy przejść się.

— Zobaczą nas.

— Tylko nie ci sami, którzy widzieli nas przed chwilą. Co to, to nie! Będziemy szli tysiąc razy prędzej, aniżeli najzręczniejszy szybkobiegacz. Chodźmy! Którędy mamy wyjść: drzwiami czy oknem?

Wyszliśmy oknem.

Ze wszystkich niezwykłych wydarzeń, jakie miały kiedykolwiek miejsce w mojem życiu, lub jakie mogłem sobie wyobrazić a nawet ze wszystkich dziwnych przygód, jakich doznawałem ktokolwiek—najdziwaczniejszym i najszałeńszym był krótki spacer na wybrzeżu Folkestownskiem, dokonany przez nas pod wpływem „nowego eliksiru“. Wyszliśmy przez wrota domu na drogę i odrazu w najdrobniejszych szczegółach zauważyliśmy wszystko, co zachodziło dokoła. Górna część kół, nogi zaprzęzonych do szarabanu koni—a także koniec bata i dolna szczęka, roztwierającego, w tej chwili usta do ziewania, woźnicy, były jeszcze w ruchu, wszystko zaś inne zdrętwiało w nieruchomości. Dokoła absolutna panowała cisza, przerywana tylko dźwiękami, wychodzącymi z naszych krtani. A jednak w tym zastygłym jakoby szarabanie, znajdował się i woźnica i konduktor i jedenastu pasażerów. Wrażenie jakie wywarł na nas ten widok, było na razie oryginalne, wkrótce jednak przykrego zaczęliśmy doznawać uczucia. Mieliśmy przed sobą podobnych do nas a jednak niezupełnie takich jak my, ludzi, zastygłych w niedbałych pozach z niedokończonemi ruchami. Młoda dziewczyna i siedzący obok niej mężczyzna uśmiechali się do siebie, zastygły ich uśmiech zdawał się przeciągać w nieskończoność; kobieta w kapturze z powiewającemi wstęgami oparła się o galeeryjkę wpiła się oczami w dom Gibburne'a z nieruchomą



wiecznością we wzroku; jakiś mężczyzna, podobny do figury woskowej, gładził swoje wąsy, drugi zaś wyciągnął zesztywniałą rękę z rozpostartymi palcami po kapelusz, który mu wiatr zerwał z głowy. Patrzyliśmy na nich, śmialiśmy się z nich, robiliśmy do nich miny, aż nareszcie, rozgniewani zwróciliśmy się z drogi, aby pójść na spotkanie cyklisty, w kierunku wybrzeża.

— Boże mój, spojrz pan na to! — zawołał Gibburne, wskazując palcem przefruwającą pszczołę.

Słabo pruća ona powietrze skrzydełkiem i poruszała się tak wolno, jak pełza najpowolniejsza żmija.

Nareszcie doszliśmy do brzegu. Tutaj wszystko wydało się bardziej jeszcze nienormalnem. Na estradzie grała orkiestra, słabe jednak tylko i ochryple dolatywały do nas dźwięki, podobne do przeciągłego westchnienia, które przechodziło o d czasu do czasu w głośniejszy szmer, przypominający cykcyk olbrzymiego jakiegoś zegara.

Dziwni, milczący ludzie, niby manekiny, zdętwieli w najrozmaitszych ruchach; jedni stali, inni zatrzymali się w połowie spaceru w niewygodnych, niedługo dających się utrzymać pozycjach. Stałem obok małego pudełka, zawisłego w powietrzu w skoku i śledziłem powolne poruszanie się łapek w miarę opuszczenia się jego na ziemię.

— Spojrz pan prędko tutaj — zawołał Gibburne, zatrzymując się przed eleganckim panem, wystrojonym w biały flanelowy kostyum, białe buciki i kapelusz „panama“, i kłaniającym się spotkanym dwom również eleganckim paniom. Niema nic pięknego w takim powolnym ukłonie, pozbawionym wszelkiego życia: z pod nawpół opuszczonych zaś powiek widać szklane oczy i biały brzęg białka.

— Będę pamiętał — zawołałem — aby nigdy w podobny sposób się nie kłaniać.

— Albo też uśmiechać się—dodał Gibburne — patrząc na obnażone zęby odpowiadającej na ukłon damy.

— Ale też gorąco!—zauważyłem.—Może zwolnilibyśmy trochę kroku?

— Chodźmy dalej — odparł Gibburne.

Torowaliśmy sobie drogę pomiędzy rzędami kąpielowych koszów. Bierne pozy niektórych osób, siedzących w tych koszach wydawały się prawie naturalnemi, natomiast przykro wprost było patrzeć na wykrzywające się komicznie postacie muzykantów, w jaskrawo pąsowych ubraniach. Przysadkowaty jegomość z fioletową twarzą zesztywniał w walce z wiatrem, rozwiewającym jego gazetę; widać było ze wszystkiego, że wszyscy ci panowie odczuwać musieli silny wiatr, który dla nas zupełnie nie istniał. Usunęliśmy się nieco w bok od tłumu i zatrzymawszy się zaczęliśmy go śledzić.

Wszyscy ci ludzie przeistoczyli się niejako nagle w nieruchome figury woskowe, przedstawiając w rzeczy samej widok niezwykły. Wszystko to były głupstwa, naturalnie, pomimo to przejęty byłam jednak poczuciem własnej wyższości. Pomyślcie tylko, jak cudowne i niezwykłe były to zjawiska!

Wszystko, co mówiłem, robiłem i myślałem od tej chwili, kiedy tajemniczy środek zaczął krążyć w moich żyłach, wszystko to trwało, jak powiadam, jedno tylko mgnienie oka.

— Nowy eliksir... — zacząłem, ale Gibburne nie dał mi dokończyć.

— Ma ją pan—tę straszną babę? — zawołał.

— Jaką babę?

— Moją sąsiadkę, właścicielkę skowyczącego po całych dniach psa. O, Boże, pokusa jest zbyt wielka!

Gibburne dziwnie bywa czasem dziecinny i działa pod pierwszym wrażeniem. Nie zdążyłem powstrzymać go, gdy rzucił się naprzód, schwycił nieszczęsne zwierzę i puścił się z niem pędem w kierunku sterczącej na brzegu skały. Wszystko to odbyło się w najniezwykleszy sposób. Nieszczęśliwe stworzenie nie próbowało uwolnić się, ani szczekać, nie zdradzało wogóle żadnych oznak życia. Zachowało swój pozór nawpół sennego spokoju podczas tego, gdy Gibburne trzymał je w garści. Zdawało się, że biegnie z drewnianym psem w rękę.

— Puść go pan — zawołałem. — Ubranie pańskie zajmie się, jeżeli pan będziesz dalej biegł tak prędko. Pańskie płócienne spodnie i tak już zaczynają się tlić i zupełnie zbrunaciały!

Zatrzymał się i otrzepał na sobie ubranie.

— Puść pan — nie przestawałem wołać, goniąc go. Nie mogę wytrzymać z gorąca!

Wszystko to dla tego, że tak prędko biegliśmy! Bagatela dwie, czy trzy mile przez godzinę! Musimy się liczyć z tarcie powietrza!

— Co! — zapytał — oglądają psa.

— Tarcie powietrza — zawołałem. — Tarcie powietrza! Zbyt szybki ruch. Przypomnij pan sobie meteoryty i tym podobne zjawiska. Niemożliwie gorąco. Ach, mój Boże, czuję okropne swędzenie całego ciała, cały jestem obłany potem. Publiczność zaczyna powoli się poruszać... Zdaje się, że eliksir przestaje działać. Puść pan psa.

— Co? — zapytał powtórnie.

— Przestaje działać — odpowiedziałem. Znadto zgrzaaliśmy się i środek pański przestaje działać! Niema na mnie suchej nitki!

Spojrzał na mnie i na orkiestrę, której gra stawała



się z każdą chwilą wyraźniejszą, potem zamierzył się silnie i odrzucił psinę, która, nie otrząsając się ze swego odrętwienia, wzbila się wysoko i zawisała w powietrzu po nad parasolami niewielkiej grupy rozmawiających osób. Gibburne schwytał mnie za ramię.

— Słowo daję — zawołał — masz pan słuszość! Jakieś silne swędzenie i... człowiek ten zaczyna w rzeczy samej poruszać swoją chustką! To wyraźnie widoczne. Trzeba uciekać!

Ale nie zdążyliśmy umknąć w czas. Zresztą, może to i lepiej. Bylibyśmy zapewne biegli pędem a gdybyśmy to uczynili, bylibyśmy się napewno zapalili. Jestem tego pewien. Że też nikomu z nas nie przyszło to do głowy!... Zanim pomyślałem o tem, ustało nagle działanie eliksiru. Stało się to w ciągu niespełna sekundy. „Nowy eliksir“ przestał działać jak na skinienie różdżki czarodziejskiej. Kurtyna zapadła i skończyło się przedstawienie.

Nagle rozległ się wylęknięty głos Gibburne'a.

— Siadaj pan czempredzej! — zawołał.

Pospieszyłem więc przykucnąć na trawie. Na tem miejscu, gdzie dotknąłem ziemi, do dzisiejszego dnia widoczna jest jeszcze wypalona na trawie plama. Jednocześnie wszystko do koła mnie powróciło nagle do życia; urywane przedtem dźwięki, wydawane przez orkiestrę, przeistoczyły się w głośną muzykę, spacerujący ludzie zaczęli poruszać nogami, chorągwie zaczęły powiewać, kłaniający się pan skończył swój ukłon i spokojnie poszedł dalej a cała siedząca publiczność otrząsnęła się ze swojej nieruchomości i przemówiła.

Cały świat zbudził się jakby nanowo do życia i żył bynajmniej nie szybciej, aniżeli my a raczej my nie żyliśmy ani trochę szybciej, niż wszyscy inni ludzie. W ciągu jednej lub dwóch sekund zdawało mi się, że wszystko wi-

ruje dokoła mnie, doświadczyłem lekkiego uczucia mdłości i nic więcej. Co się tyczy małej psiny, rzuconej przez Gibburne'a, spadła ona nagle z niezwykłą szybkością, przebiwszy parasolkę jednej z obecnych pań. Uratowało to nas. Nie przypuszczam, aby ktokolwiek zauważył nasze zjawienie się oprócz grubego starego jegomościa, rozpartego na fotelu, który niewątpliwie widział nas, kilka razy bowiem obejrzał nas pogardliwie od stóp do głów i nawet, o ile mi się zdaje, powiedział coś o nas swojej towarzysze. Zjawiliśmy się zupełnie niespodzianie. Prawie odrazu przestaliśmy tlić się, jakkolwiek trawa, na której siedzieliśmy wciąż jeszcze nieprzyjemnie była gorąca. Uwagę wszystkich obecnych, nie wyłączając nawet orkiestry, rady nadzorczej rozrywek publicznych, która po raz pierwszy chyba od czasu swego istnienia, spadła z taktu, pochłonęła cała ta przygoda; szczególne skowyczenie psa i ogólne poruszenie, wywołane zadziwiającym i niepojętym faktem, że delikatny piesek pokojowy, który leżał na prawo od orkiestry, nagle przeskoczył przez parasolkę pani, siedzącej na lewo, szerść zaś jego była jakby lekko opalona — fakt, który można wytłómaczyć niezwykłą szybkością jego ruchów w powietrzu. I wszystko to miało miejsce w naszym głupim wieku, kiedy każdy z nas tak bezkrytycznie wierzy we wszystkie nadnaturalne zjawiska oraz we wszelkie zabobony! Każdy zerwał się z miejsca i padał jeden na drugiego; krzesła przewracały się, policyanci gorączkowo biegali po wybrzeżu. Nie wiem, na czem się to wszystko skończyło; byliśmy bowiem zbyt zaabsorbowani wynalezieniem sposobu wykręcenia się z całej tej awantury i ukrycia się przed starym jegomością w fotelu, dlatego też mnóstwo szczegółów uszło naszej uwagi. Skoro tylko ochłonęliśmy nieco i przyszliśmy do

siebie po doznanym zawrocie głowy i mdłościach, natychmiast zerwaliśmy się i mijając tłum, zeszlśmy na drogę, położoną nieco niżej od Metropolu i prowadzącą do domu Gibburne'a. Jednakże w pośród otaczającego nas krzyku i hałasu, wyraźnie rozróżniłem nieparlamentarne wyrazy i groźby, z jakimi pan, siedzący obok damy z przedziurawioną przez psa parasolką, zwracał się do jednego z woźnych, na którego czapce błyszczał napis „dozorca.“

— Jeżeli nie pan rzuciłeś psa — mówił — to któż mógł to zrobić?

Nowe nagłe poruszenie się tłumu i znane nam dobrze głosy, zarówno jak zrozumiała zresztą obawa o własną skórę (ubranie nasze wciąż bardzo jeszcze było gorące a spalone białe spodnie Gibburne'a przybrały brudno-brązowy odcień) nie pozwoliły nam niestety, na czynienie dalszych spostrzeżeń. Pszczoła, rozumie się, już pofrunęła dalej. Szukałem wzrokiem cyklisty, ale zdążył on już zniknąć przez ten czas na zakręcie drogi; szaraban zaś, pełen żywych i ruszających się ludzi, szybko zbliżał się do sąsiedniego kościoła.

Zauważyliśmy, między innemi, że na framudze okiennej, na którą stąpaliśmy, wychodząc z domu, zostały jakby wypalone odciski; ślady zaś nóg naszych na drodze niezwykle głęboko wryły się w piasek.

Taka była pierwsza moja znajomość z „nowym eliksirem“. Wszystko, co widzieliśmy, czyniliśmy i mówiliśmy, odbyło się w rzeczy samej w przeciągu niespełna sekundy.

Przeżyliśmy conajmniej półgodziny przez ten czas, kiedy orkiestra zaledwie zdążyła przegrać dwa takty. My zaś mieliśmy takie wrażenie, jakgdyby życie na całym świecie zatrzymało się w biegu, aby dać nam możliwość czynienia spostrzeżeń.



Biorąc wszystko to pod uwagę, zwłaszcza zaś pośpiech, z jakim wyszliśmy z domu, wszystko, co miało miejsce, mogło stać się dla nas powodem większych daleko nieprzyjemności, aniżeli zdarzyło się w rzeczy samej. Przekonało nas to, że Gibburne dużo ma jeszcze przed sobą prób do dokonania, zanim środek jego będzie mógł być stosowanym, zarazem jednak wypadek ten świadczy, jakie olbrzymie może mieć „eliksir“ znaczenie.

Od tego czasu myślał on dużo o sposobach jego stosowania, ja zaś niejednokrotnie — zawsze bez złych dla siebie następstw — przyjmowałem pod jego obserwacją dawki „nowego eliksiru“. Muszę, co prawda, wyznać, że znajdując się pod wpływem cudownego środka, ani razu nie odważyłem się wyjść z domu. Niniejszą historię napisałem za jednym zamachem, bez żadnej przerwy — nie licząc wypitej przezemnie podczas pracy filiżanki czekolady — właśnie dzięki użyciu cudownego „eliksiru“. Zacząłem pisać punktualnie o godz. 6 minut 25., a w tej chwili wskazówka mojego zegara wskazuje godz. 6 minut 37. W ten sposób, nie będzie to wcale przesadą, jeżeli powiem, że „nowy eliksir“ daje nam zupełną możność nieograniczonego korzystania z czasu pracy, pośród najbardziej zajętego dnia. W obecnej chwili Gibburne pracuje nad uregulowaniem dawek swojego preparatu w stosunku do działania jego na osobniki, różnym obdarzone temperamentem. Jako środek przeciwdziałający temu „eliksirowi — przyspieszaczowi“, chciałby wynaleźć też „eliksir — zwalniacz“, który mogłoby neutralizować siłę pierwszego. Działanie „zwalniacza“ byłoby naturalnie odwrotne. Da ono każdemu możność przeistoczenia kilku zwykłych godzin w kilka sekund oraz zachowania apatycznej beczynności i lodowatego spokoju wśród najbardziej pobudzającego otoczenia. Dwa te

środki wywołają bezwątpienia przewrót w całym ucywilizowanym świecie.

Podczas gdy „przyspieszacz“ da nam w każdej chwili możność skupienia całych sił na danym przedmiocie, wymagającym całej naszej uwagi, „zwalniacz“ pozwoli nam zachować bierny spokój wobec najnudniejszych i najprzykrzejszych okoliczności. Może zapatruję się nieco nazbyt optymistycznie na ten „zwalniacz“, który musi dopiero zostać wynalezionym, co się jednak tyczy „przyspieszacza“, nie może być na tym punkcie żadnej wątpliwości. Jego zjawienie się w handlu w łatwo dającej się dozować i stosować postaci—jest kwestyą kilku zaledwie miesięcy. Sprzedawać go będą we wszystkich składach aptecznych i chemicznych, w małych zielonych buteleczkach, po dość wysokiej jakkolwiek — biorąc pod uwagę niezwykle jego własności — niezbyt wygórowanej cenie. Będzie on nosił nazwę „eliksiru profesora Gibburne’a“ i przyjaciel mój ma zamiar puszczenia go w obieg w trzech różnych proporcjach: jako eliksir, potęgujący energję życiową 200, 900 i 2,000 razy. Zależnie od tego, będą się one różniły żółtymi, różowymi oraz białymi etykietkami. Użycie tych eliksirów umożliwi nam korzystanie z wielu bardzo rzeczy. Zapewnie, że możliwość dowolnego przyspieszania lub zwalniania za ich pośrednictwem biegu czasu może nieraz być wyzyskiwaną przy dokonywaniu zbrodni, ale każdy wszak silny środek łatwo może być nadużywany. Rozważyliśmy obaj kwestyę tę wszechstronie i postanowiliśmy, że wkracza ona w dziedzinę sądowej medycyny i zupełnie nas nie obchodzi. Będziemy przygotowywali i sprzedawali „nowy eliksir“ i cierpliwie wyczekiwali na jego wyniki. R. C.

---

## „MANGGHA“.

„Serca młode pokochają mnie  
za to, żem jest śmiały.“

(Beniowski. Pieśń III.)

Doba obecna to dla duszy polskiej „chwila dziwnie osobliwa“, jak mówią na „Weselu“. Dziesięć lat zaledwie upłynęło, a jak daleko nie odbiegliśmy (na szczęście) od pozytywizmu i naturalizmu; po jakich drogach — i po jakich manowcach (na nieszczęście) nie błądziliśmy od tej pory! I nigdy jeszcze chyba zorientowanie się wśród najrozmaitszych zjawisk i najsprzeczniejszych pomiędzy sobą prądów chwili, tak trudnem nie było, jak dzisiaj. Bo doba obecna — to epoka przejściowa, bo to „dzisiaj“ tak zawile zawiera w sobie i rozkładające się „wczoraj“ i narodzić się mające „jutro“ zarazem — a dekadencya kłóci się już w niem z renesansem. Nic więc dziwnego, że i ludzie tej dziwnej epoki tak osobliwie są złożeni, twórcy jej zwłaszcza: schyłkowcy i odrodzeniowcy zarazem. W dolinach mrok gęsty, ale szczyty gór rumienić się już zdają w blaskach niedalekiego świtu...

W oczach naszych dokonała i dokonuje się wciąż jeszcze — „w całej polskiej naturze przemiana.“ Odczuwać się ona daje coraz wyraźniej na każdym polu... najwyraźniej jednak zarysowuje się już w sztuce naszej, której chata oto tak nagle „stała się rozkochana w polskości“. Że-



by się zrównać z Europą, musieliśmy w ostatnich latach dziesięciu gorączkowo pośpiesznie przejść te wszystkie prawie fazy i przeobrażenia, które w latach dwudziestopięciu przeszedł Zachód; z natury rzeczy więc musieliśmy najpierw przetrwać to wszystko obce, zanim zmiarkować zdołaliśmy sami, że chcąc s o b ą pozostać i stworzyć p r a w d z i w ą sztukę, musimy ducha jej z głębin najistotniejszych naszej duszy wszechludzkiej a specyficznie... polskiej zaczerpnąć. Tak więc szlaki różnymi zdążając, wróciliśmy najpierw do zapomnianej oddawna d u s z y i d o s z t u k i b e z e p i t e t u, ażeby dziś wreszcie naturalnym biegiem rzeczy dodać do tych dwóch haseł epitet p o l s k o ś c i, (oczywista polskości w istotnem jej wewnętrznem znaczeniu, według którego „polskimi“ będą zarówno dramaty historyczne Wyspiańskiego, jak „Ginącemu światu“ Kasprowicza lub poniekąd i niektóre z dzieł Przybyszewskiego. W literaturze i w poezyi naszej ewolucya ta dokonała się stopniowo sama przez się — przez bezpośrednie nawiązanie z dobą naszych wielkich romantyków a równocześnie „zmodernizowanie się“ duszy polskiej—i dzisiaj t. zw. Młoda Polska z Żeromskim, Kasprowiczem, Wyspiańskim i tyloma innymi może już wskazać na bogaty w swej rozmaitości, potężny i nowy formą a duchem rdzennie polski i współczesny w ogólnoludzkiem znaczeniu zarazem, dorobek, który nowych wciąż jeszcze dróg niestrudzenie szukając, dziś już z najlepszymi literaturami Europy śmiało współzawodniczyć może...

W muzyce jednak tymczasem (po zawodzie jaki nam przyniosły „Manru“, „Urwasi“ i „Wołodyjowski“) wciąż jeszcze daremnie czekamy na drugą tej miary, co Szopen, indywidualność twórczą polską a wszechświatową zarazem. A w sztukach plastycznych, w malarstwie, które z natury rzeczy u nas na plan pierwszy się wysunęło?

Tutaj mamy kilka zaledwie wielkich imion oraz wielu malarzy, „multa non multum“, ale brak nam wciąż jeszcze niestety, artystycznej kultury, brak poszanowania właściwego i miłości dla sztuki i artystów, brak szerokiego artystycznego podścieliska narodowego. Samotny geniusz Matejki (wciąż przeceniany lub niedoceniany fałszywie) i wielki poeta Grottger, kilka samoistnych talentów—zmarniałych przeważnie przedwcześnie lub zmanierowanych, a po zatem mnóstwo epigonów — miernot, lub naśladowców kosmopolitów. Naród nasz, jeden z najmniej na ogół artystycznych na świecie, wydaje wciąż jednak, rzecz dziwna, mnóstwo talentów. „Brzoza, której ziarno wiatr zaniósł na szczyt kościelnej wieży, która tam rośnie, z trudem ale rośnie i rozwija się, czyż nie jest polobną do naszego malarstwa?“—pisał Witkiewicz. Dpiero w ostatnich latach garstka idących przebojem twórców, między nimi takie indywidualności jak: Malczewski, Wyspiański (malarz i poeta, czyż to nie renesansowa postać!), Mehoffer, Stanisławski, Wyczółkowski i inni poczynają stawiać malarstwo polskie jako pewną już całość na wyżynach europejskich, zaznaczając w niem równocześnie polskość swoją na różny sposób coraz dobitniej. Ze starego Krakowa i z jego ducha (a nie zapominajmy, że ducha tego pierwszy wydobył i wyraził — Matejko!) wychodzić się zdaje i odrodzenie sztuk plastycznych tak, jak już w znacznej mierze wyszło odrodzenie naszej współczesnej poezyi. Wreszcie rok ubiegły, który w literaturze naszej unamiętnił się na zawsze pojawieniem się „Wesela“ Wyspiańskiego — tego dziwnego a niezaprzeczenie genialnego dzieła, które nie będąc może jeszcze tem tak gorąco wyczekiwaniem dramatu polskiego objawieniem, jest przecie w każdym razie najwspanialszym od czasów Słowackiego a nawskróś współczesnym duszy polskiej wyrazem, gorzkim i bolesnym, ale pełnym

miłości i rozumu obrachunkiem z przeszłością naszą i teraźniejszością: nową formą, z której już duch nowy wybłyśka—ten sam rok 1901 patrzył i na narodziny jawnie wreszcie wywieszonego hasła „narodowości w sztuce“, hasła łączącego się organicznie z powzięciem wiary silnej w możliwość stworzenia kiedyś rodzimego stylu polskiego oraz podjęciem pierwszych usiłowań w celu rozszerzenia zakresu sztuki naszej aż do codziennych potrzeb życiowych ogółu, tej pięknej myśli, która wyraz swój w założeniu towarzystwa „polskiej sztuki stosowanej“ znalazła.

Z równoczesnem więc pogłębieniem się i rozszerzeniem oraz „spolszczeniem“ całego zakresu sztuki naszej, staje z początkiem w. XX plastyczna sztuka polska u tej samej krynicy, z której już raz z początkiem w. XIX odrodziła się nasza poezya. Oto zakasano ręce do pracy i postanowiono zwrócić się przedewszystkiem do skarbnicy motywów ludowych, zbierać skrzętnie wszystkie tych motywów oraz przejawów odrębności różnych dawnego stylu polskiego pomniki, stosować i rozwijać to wszystko w rodzimym duchu i charakterze. To droga do stworzenia stylu polskiego wiodąca. Niech równocześnie sztuka nasza będzie przedewszystkiem s t u k ą, a z czasem sama przez się — za 50, 100 czy 200 lat, mniejsza o to — będzie musiała stać się wielką narodową sztuką polską!

„Chwila dziwnie osobliwa“ obfitująca coraz bardziej w dziwnie osobliwych ludzi. I oto jeden z nich, konieczny zaiste dla tej rodzącej się plastycznej sztuki polskiej człowiek, typowy bardzo przedstawiciel tej chwili, „der Mann, der dem Dritten vorausgeht“ (jak mówi Nietzsche), który w pewnym zakresie wszystkie w łonie tej chwili drzemiące porywy i pragnienia w sobie uświadomił



i urzeczywistnieniu ich życie swoje i działalność poświęcił — P. Feliks Jasiński to „homo novus“ w naszym świecie artystyczno-literackim, choć wiekiem do najmłodszej generacji już nie należy. Nagle i zupełnie niespodziewanie wypłynęło przed rokiem jego nazwisko w Warszawie. Wystawa drzeworytów japońskich i szereg wystaw zapowiedzianych w „Chimerze“, zakupno „Szału“ Podkowińskiego, które krytykom warszawskim dało sposobność do tego wielkopomnego odkrycia, że w sztuce kobieta naga w spoczynku jest dziełem moralnem, w ruchu zaś wyobrażona niemoralnem, wreszcie polemika o Gersona, która prasę i publiczność na dwa wrogie sobie obozy podzieliła i stała się przyczyną naganki, wobec której p. Jasiński cofnął na razie uczynioną Warszawie darowiznę swych bogatych zbiorów, przez lat kilkanaście kosztem „chodzenia w dziurawych butach“ nagromadzonych — oto początki rozgłosu tego nazwiska, rozgłosu, którego tylko echa dalekie poprzedziły przyjazd p. Jasińskiego do Galicyi. Po dwumiesięcznym w lecie pobycie w Zakopanem, który posłużył mu do gruntownego zbadania stylu zakopiańskiego i stał się u niego podwaliną wiary niezachwianej w powstać mogący kiedyś rodzimy styl polski w budownictwie i w sztuce stosowanej, przybył p. Jasiński w jesieni z. r. do Krakowa, gdzie zarówno on jak i urządzony przez niego szereg wielce interesujących wystaw (drzeworyt japoński, Dürer, akwaforty Klingera i Legranda, autolitografie Riviere'a, Rembrandt jako rysownik, itd.) powitane zostały z prawie jednogłośnie sympatją i uznaniem przez publiczność i prasę, a ze szczerym entuzjazmem przez artystów i miłośników sztuki. Po kampanii krakowskiej, kampania lwowska. I tu we Lwowie dopiero, gdzie jak przedtem w Warszawie, z krytykami nawet rozpoczynać trzeba było od abecadła pojęć za-

sadniczych o sztuce, agitatorski talent p. Jasińskiego za-  
jaśniał w całej pełni. Rozpoczęła się więc wesoła ale bu-  
rzliwa wojna, w imię ideałów artystycznych prowadzona,  
która — rzecz we Lwowie niebywała — rozgorączkowała  
opinię i wywołała spór o sztukę polską... nad Pełtwią. Więc  
znów obok wystaw, szereg pogadanek i artykułów ciętych,  
brutalnych nieraz w swej bezwzględnej szczerości i obu-  
rzeniu, ale dyszących entuzjastycznym umiłowaniem piękna  
i nienawiścią wszelkiego kołtuństwa i faryzeuszowstwa  
estetycznego; więc wreszcie historyczny już bój... z kogut-  
kiem wielkoruskim prof. Kovatsa, zakończony doszczętnem  
pogrążeniem jego „sposobu“ a równocześnie — secesya  
w łonie lwowskiego światka malarskiego. Pobyt p. Jasiń-  
skiego we Lwowie, to epizod zaledwie jego działalności,  
ale epizod znamienny bardzo i wiele znaczący w dziejach  
naszego kulturalnego rozwoju. W środowisku dotąd dla  
sztuki obojętnem, nieraz wrogiem prawie, padł po raz pierw-  
szy donośny głos, nawołujący do stworzenia sztuki polskiej  
i pomimo różnych „fachowców“ i zawodowych pesymistów  
nadpełtwiańskich, uwierzono tam wreszcie w narodzić się  
jutro mogący styl polski, co najważniejsze zaś, zwrócono  
uwagę na skarby rodzime, w pogardzie i zapomnieniu od-  
tożem dotąd leżące, z których wara już dzisiaj rękami nie-  
powołanym czynić wszelkiego smaku pozbawioną „samo-  
warszczyznę“. Nawet ci, którzy dziś tak pięknie piszą o od-  
nalezionym wreszcie „złotym rogu“ sztuki polskiej, milcze-  
liby z pewnością w dalszym ciągu i w dalszym ciągu róż-  
ne c. k. sposoby zapaskudzałyby sztukę naszą i kompro-  
mitowałyby ją na wystawach światowych — gdyby nie za-  
dnymi względami nieskrepowana bezwzględność agitator-  
ska p. Jasińskiego.

W atmosferę sztuki naszej wnosi ten niestrudzony

pionier piękna zbawienne, ożywcze tchnienie. — Sprawiedliwość z góry tutaj zaznaczyć każe, że działalność jego jest przede wszystkim kontynuacją poniekąd działalności Witkiewicza. Ci jednak, którzy twierdzą, że p. Jasiński wybija okna dawno już otworem stojące, mają chyba wzrok bardzo krótki, albo nie chcą widzieć poprostu, że pojęcia o sztuce, o malarstwie zwłaszcza, u publiczności naszej i u krytyków nie wiele na ogół zmieniły się od czasu pojawienia się znanej książki Witkiewicza. Jak przed laty, temat i tendencja odgrywają u nas wciąż jeszcze rolę pierwszorzędną ze szkodą rzeczywistej wartości artystycznej dzieła; jak wówczas wciąż jeszcze więcej mamy malujących gawędziarzy czy etnografów, niż malarzy, którzy swoją drogą mogą i jeżeli sztuka w ogóle czem więcej ma być aniżeli tylko rzemiosłem artystycznym, muszą nawet być poetami czy filozofami; jak wówczas krytyka nasza wciąż jeszcze wypisuje przeważnie nonsensy bezdenne traktując sztukę ze wszystkich możliwych stanowisk, tylko nie z właściwego artystycznego stanowiska. Więc nigdy nie można za często kłaść u nas ludziom w głowy, że malarstwo musi być tem, czem być powinno tj. malarstwem przede wszystkim, a potem dopiero poezją czy historyzofią. Dowodów na to dość chyba mieliśmy w prasie naszej podczas wystaw p. Jasińskiego, zarówno we Lwowie jak... w Warszawie. Podobnie jak Witkiewicz jest i p. Jasiński przede wszystkim polemistą, działalność jego obejmuje jednak szersze a zupełnie nam współczesne widnokreśli tłumaczy tę różnicę już sam odstęp lat kilkunastu a przez swoją stronę agitatorską w połączeniu z pogładową pedagogią wędrownych wystaw, zyskuje na znaczeniu praktycznym... Witkiewicz, którego upodobania nie zasklepiają się bynajmniej w pewnem ciasnem kole (do-



wodem tego choćby ten piękny ustęp jego książki o Boecklinie) i który wbrew teorii Taine'a, pierwszorzędne znaczenie talentu i indywidualności twórczej zawsze dobitnie podkreślał, w polemice swej, jak to zresztą jest już właściwością każdego polemisty, mającego przedewszystkiem aktualne cele i zadania na oku, posuwał się czasami za daleko i do zbyt nicogłędnych uogólnień, jak to np. miało miejsce choćby z tą przysłowiową „Kašką z rzepą“, którą mu dziś jeszcze wypomina p. Wawrzeniecki („Dławce“). Dziś wogóle widzi się tylko złe sztuki, jakie za sobą pociągnęła działalność Witkiewicza i coraz ostrzej się ją potępiać zaczyna, zapominając o ogromnych jej w swoim czasie zasługach i doniosłości.

Śmiały rewolucjonista w praktyce, jako teoryk ze swoim postulatem „prawdy w sztuce“, który jak każda zresztą teoria (nawet teoria Ruskina), okazał się za ciasny i fałszywy, przyczynił się może Witkiewicz, w każdym razie mimowolnie, do zapanowania u nas ręką w rękę z pozywityzmem idącego bezdusznego realizmu, którego reakcją gwałtowną są właśnie najnowsze prądy naszej sztuki, reakcją krańcowo w „Chimerze“ niedawno przez Miriamą sformułowaną. Pp. Miriam i Wawrzeniecki zapominają jednak, że Witkiewicz to pierwszy otworzył u nas jaknajszersze horyzonty dla indywidualności twierdząc, że „cały świat myśli i uczuć, cały wewnętrzny świat człowieka i cały świat zewnętrzny może być przedmiotem artystycznej twórczości i że granice powstawania nowych zjawisk w sztuce leżą u granic istnienia ludzkości!“ Miał jeszcze wówczas Witkiewicz „dautres chats à foueter“, jak stawianie sztuki na wyżynach absolutu. Ponieważ zaś w chwili kiedy zaczął pisać o sztuce, poniewieranymi przez warszawskich estetyków byli realiści, starał się przeto wy-

kazać, że i ta „sekte“ ma swoją rację bytu, a sam osobiście swoim temperamentem artystycznym ku niej się składając, w zapale walki powiedział nie jedno, z czego potem pospiesznie ukuto regułę, że wszystko w równej mierze dobre jest do malowania: regułę która spowodowała, że doskonałość faktury stała się wyłącznym pragnieniem i jedynym celem artystów, a pierwszym postulatem krytyków, którzy częściowo teraz w drugą znów ostateczność czysto fachowego wyrokowania o dziełach sztuki popadli.

P. Jasiński, chociaż zawsze i wszędzie kładzie nacisk ogromny na stronę formalną i doskonałość jej słusznie jako warunek „sine qua non“ sztuki uważa, wymaga od niej w różnej mierze i kreacyi czyli poprostu d u s z y i z tych dwóch czynników w jego pojęciu, każda prawdziwie wielka indywidualność twórcza składać się powinna. Wie on jednak dobrze, że wielcy twórcy pozostaną wielkimi, p o m i m o pewnych usterek technicznych, wie o tem zwłaszcza, że silna indywidualność prawdę realną, t. j. to, co Miriam „fenomeniczną powierzchnią“ nazywa zawsze mniej lub więcej na obraz wewnętrznej swojej wizyi przekształcać będzie i że im ta wizya głębszą będzie, bardziej żywiołową a wyraz jej indywidualnie potężny, tem potężniejszym będzie twórca i tem potężniejszą jego sztuka. Zapomniał o tem a w każdym razie nie uświadomił, ani w swoim czasie mógł nawet uświadomić sobie tego jasno Witkiewicz.

P. Jasiński temperamentem artystycznym do niego zbliżony, osobiście uwielbiać będzie najgoręcej takich genialnych realistów, jak Rembrandt i Hokusai, w równej jednak mierze odczuwać będzie i poezję głęboką słabych w kolorze a nieszczególnych często i pod względem rysunkowym obrazów Burne-Jones'a lub przesubtelny czar „wynaturzonych“ starych klasyków japońskich. („Ostryga do-

brze namalowana warta będzie nieskończenie więcej od Boga Ojca, źle namalowanego — czytamy w „Mandze“ — „Quies vesperina“ Burne-Jonesa jednak nieskończenie więcej od dobrze malowanej ostrygi“). A gdy będzie mówił np. o akwaforcie Klingera „An die Schönheit“ zatytułowanej, która pomimo znacznego błędu rysunkowego, jest pełnym głębi poematem o życiu, śmierci i nieśmiertelnem jedynie pięknie przyrody, wówczas jemu, który tak ubóstwia poprostu piękny rysunek, wyrwie się to przez krytykę lwowską skwapliwie zaraz podchwyczone: „gwizdź na poprawność!“ Jak każdy działacz, ciągnie i p. Jasiński czasem zbyt mocno na prawo, wobec tego, że inni ciągną zbyt mocno na lewo i poszczególnych wyrażań jego polemik w dosłownem znaczeniu brać i uogólniać nie zawsze wolno...

Ale choć „różnemi drogi swój poemat wiedzie“ a muza jego często „strof nie liczy“, cel jego propagandy jasno jest wytknięty. Obudzić cześć i poszanowanie dla sztuki bez epitetu i dla indywidualności twórczej, rozniecić w jaknajszerszych warstwach (p. Przesmycki wzrusza ramionami!) zamiłowanie do sztuki w ogólności a do sztuki polskiej w szczególności, żeby nam ta sztuka nie odświętnym zbytkiem tylko, ale codzienną potrzebą życia się stała; uświadomić nam i artystom naszym nasze narodowe podłoże i skarby artystycznej odrębności tkwiące w duchu naszym, w ludzie i w przeszłości naszej: wpoić wreszcie w tych artystów przeświadczenie głębokie, że najpierw mocą doskonałego opanowania środków swej sztuki a potem treścią jego wewnętrzną, przedewszystkiem zaś nie małpowaniem, lecz samodzielnem czerpaniem z głębin swego własnego a nie obcego ducha, stać się mogą prawdziwymi twórcami a w ten sposób wznieść sztukę polską



na wszechświatowe wyżyny — to meta końcowa jej dążeń. Hasło narodowości w sztuce idzie samo przez się za poprzednimi postulatami. Mojem zdaniem ma też ono poza nawoływaniem do stworzenia stylu polskiego i sztuką stosowaną, tylko.. czysto retoryczne znaczenie. Jeżeli sztuka nasza będzie prawdziwą sztuką już przez to samo będzie musiała być sztuką polską, będąc sztuką ogólnoludzką zarazem. Zresztą nie wiem, czy p. Jasiński sam zdołałby wyraźnie określić, na czym właściwie polega „narodowość“ np. malarstwa niemieckiego lub rzeźby francuskiej, ta „narodowość“, której on w malarstwie naszym odnaleźć jeszcze nie może. Nie chcąc być zresztą złośliwym, przytoczę tu własne jego słowa: „Il n'y aura plus jamais d'écoles nationales de peinture, car les differences entre les individus et les nations vont toujours s'attendant de plus en plus. Il n'y aura que de grands peintres..“ (Manggha str. 294). Po za właściwym charakterem danej przyrody i człowieka, po za anegdotą historyczną czy obyczajową, istnieje z pewnością pewien jeszcze charakter narodowy, manifestujący się równie dobrze w linii i barwie, w błędach i zaletach faktury, jak i w treści wewnętrznej, w takim właśnie a nie innym pojmowaniu i opanowaniu takich a nie innych tematów, i t. d. Z tem wszystkim jednak wkraczamy już zanadto w zakres tych tak słusznie przez p. J. znienawidzonych szkół, w zakres naśladownictwa i maniery. Po nad narodowością stać będzie zawsze indywidualność, twórcza, która im potężniejsza, tem bardziej będzie ogólnoludzka, mogąc swoją drogą równocześnie w znacznym bardzo stopniu być francuską czy niemiecką. Z drugiej strony do oceny, o ile to nawet nie pół wiekowe jeszcze malarstwo nasze, dziś już w całokształcie swym posiada takie ogólnonarodowe polskie cechy, brak nam dziś jeszcze poprostu per-

spektywy oddalenia. Kto wie, czy nie znaleźlibyśmy w niem już dzisiaj takich cech do pewnego stopnia wyrażonych nawet, gdybyśmy malarstwo nasze w najlepszych jego dziełach w jedną całość zestawili — oczywista nie w ten sposób tylko, jak to uczyniono na smutnej pamięci „wystawie retrospektywnej malarzy polskich“ w czasie ostatniej wystawy paryskiej; kto wie, czy wiele z okrzyczanych wad Matejki nie okazałoby się w tem zestawieniu właśnie, jako takie silnie tylko zaakcentowanie znamiona jego „polskości...“ Hasło „narodowości w sztuce“ jest to mojem zdanie, tylko środek praktyczny z całą świadomością rodzaju jego wartości stosowany przez p. J. Słusznie powiedział jakiś swojski pesymista, że zawsze najpierw była rzecz, a potem dopiero nazwa. Ale „grau ist jede Theorie“, wszelkie też rozstrząsania na temat „egipskiej krowy — polsku namalowanej“, mają tylko wartość... teoretyczną, działalność p. Jasińskiego jest zaś przedewszystkiem działalnością praktyczną. Za bezcelowe uważam również zastanawianie się głębokie niektórych nad tem, czy „droga przez Japonię do Polski“ jest czy nie jest — pedagogiczną. Z niebezpieczeństw jej autor artykułu „Z deszczu pod rynnę“ sam w każdym razie dokładnie sobie sprawę zdaje. Może to tylko poniekąd sensacyjne „Tam-tam...“, w każdym razie jest to zaledwie jedna strona działalności na całe lata zamierzonej...

„Zaczynajcie, czas dokończy!“ powiedział Michał Anioł. Chodzi o czyn, o ruch i życie przedewszystkiem — a p. Jasiński stwarza dokoła siebie ruch i życie i co najważniejsze, wnosi z sobą zaraźliwą miłość entuzjastyczną dla sztuki i jej ideałów w najszerszem słów tych znaczeniu. Trzebi bez litości chwasty zaściankowości i pseudopatryotyzmu, obala śmiało parafialne autorytety a natomiast otwie-

ra szerokie okno na Europę, kładąc nam równocześnie w serca, byśmy nigdy s o b ą być nie przestawali. A sztuka dla niego — to „wielka rzecz“ i sama w sobie, jako najbezpośredniejszy wyraz nieśmiertelnego piękna nieśmiertelnej duszy ludzkiej... ale także i jako jeden środek więcej do zmanifestowania żywotności tamtej drugiej, której grób „pszenicą i burakami zasypany“. Nie chce on ściągać sztuki z jej królewskich wyżyn ku „tłumowi“, ale chce „tłum“ ten podnieść ku niej, chce by coraz szersze warstwy piły z jej ożywczych źródeł. „Marysią do wszystkiego“ sztuki polskiej nazywa sam siebie p. Jasieński, kiedy mu każą „zabijać“ różnych Kovatsów i protestować przeciwko wszelkiemu mydlarstwu; „Ein Wüstling der Ideale“ nazwałby go Piotr Altenberg a tylko tacy przed Jutrem „ścieżki pańskie prostują“.

.....

Ale maska entuzjastycznego, bezwzględnego, nieraz paradoksalnego na pozór agitatora artystycznego, w której od roku przed społeczeństwem naszym występuje p. Jasieński, wystawcy, autora gorących a „gryzących sercem“ polemik, prelegenta, za którego werwy i humor pełnymi „causeries“ tak przepadają warszawskie „nadmobiety“ — to tylko jeden wyraz... okolicznościowy choć bardzo indywidualny zarazem tej skomplikowanej a nawskroś współczesnej duszy. Ten fantastycznie fanatyczny apostoł piękna i bezpłatny jego komiwojażer, ten wielbiciel sztuki japońskiej i propagator narodowości w sztuce naszej, który tak pięknie marzy o przyszłym stylu polskim, jaki na ziemi tej od kłamki i stołka aż do całych budowli prywatnych i publicznych zapanować kiedyś powinien, ten popularyzator sztuki i współpracownik „Chimery“ w jednej sobie: —



poznać się daje bliżej dopiero w swej książce, tej jak pisał któryś z dzienników, „tajemniczej“ „Mandze“, której sam wygląd już odstrasza porządných obywateli. Bo i proszę, tom obejmujący blisko tysiąc stroniec druku, (ależ panie Jasiński!) bez żadnego przytem podziału na rozdziały, bez żadnego rozsortowania zawartości, książka pisana przez Polaka po francusku a jako motto: „Ich schreibe nicht Euch zu gefallen“.

Nie znam w oryginale portretu autora „Mangghi“ pędzla Podkowińskiego, sądząc jednak z nieszczegółnej reprodukcji zamieszczonej w albumie pośmiertnym tego niezapomnianego artysty, musi to być rzecz znakomita, synteza poprostu całego człowieka. Z tych kilku portretów rozmaitych pędzli, przeważnie bardzo ciekawych, które p. Jasiński wystawił z początkiem stycznia w krakowskim „Salonie“, najwięcej daje wielki olejny portret pędzla Wyczółkowskiego, choć może drugi mniejszy tegoż artysty (pastel) przewyższa go jeszcze pod względem wyrazu. Dziwny to twórca ten Wyczółkowski, nie ma w nim „głębi“, jest tylko niesłychanie intensywne i żywe oddanie „powierzchni“ i to tak mistrzowskiemi środkami, że wszystko, co odtwarza, rzeczy i ludzie — żyje poprostu a obrazy jego mają ogromną poezję zewnętrzną, nie duszę twórcy wprowadzie, ale swoją własną. Tak się ma rzecz i z tym wielkim portretem, który u stóp jakiegoś kamiennego, nawpół pokruszonego krucyfiksu, mającej się na ścianie wyblakłemi freskami pokrytej, przedstawia p. J., jak siedzi zadumany z rękoma klawiatury organów dotykającemi. Czarno ubrana jego wysoka, energiczna i jakby z gruba ociosana postać, ta głowa piękna w swej brzydocie, która zazwyczaj ma w sobie coś z tarana każdej chwili o mur uderzyć gotowego, oczy które nawet z po za szkieł czarnych zawsze

miotać się zdają iskrami — wszystko to skąpane tutaj jest w jakiejś bolesnej, głębokiej a nieukojojonej melancholii, w beznadziejnem prawie znużeniu, które jednak — czuje się to wyraźnie — bujnych sił drzemających w tej duszy i w tym organizmie zmódz nie jest w stanie i lada chwila potężną kaskadą dźwięków z pod palców grającego wybuchnie...

Jak wiadomo, jest p. Jasiński także i muzykiem. Obszerny jego artykuł o muzyce zamieszczony w „Chimery” napsół w swoim czasie dość krwi wielu profesorom konserwatoryów, zwłaszcza wielbicielom muzyki włoskiej, których i w jego książce niejedna przykrość dotkliwa napotka. Od tychże profesorów słyshałem też bardzo rozmaite zdania o kompozytorach i grze p. J.; w każdym razie jest on dziś na tem polu tylko dyletantem. Mnie rozchodzi się tutaj wyłącznie o wrażenie, jakie gra jego wywołuje a które zresztą i wielu „fachowców” ze mną podziela. A wrażenie to daje mi całego człowieka, całą jego duszę. Gra p. J. odznacza się przedewszystkiem niezwykłą siłą, wielce szlachetną, prawdziwie artystyczną ekspresją i głębokiem uczuciem. Kiedy p. J. znajdzie się w sympatycznem dla siebie otoczeniu i przed dobrym instrumentem, jest w stanie grać całemi godzinami, jakby poprostu czynił zadość jakiejś organicznej potrzebie wewnętrznej, jakby ten wylew, to wyśpiewanie się przynosiło mu wprost ulgę fizyczną. Zaczyna zwykle od czegoś dobrze znanego np. od Szopena lub Schumana, oddaje teksty jedne po drugich ogromnie wiernie, z prawdziwym pietyzmem i głębokiem wniknięciem w ducha danego twórcy, łącząc rzeczy nieraz ze sobą najsprzeczniejsze w bardzo kunsztowny, artystyczny sposób. Zwolna jednak przejścia te stają się coraz bardziej indywidualne, nabierają czysto osobistego charakteru a po-

tem zwolna dzieje się to samo z interpretowanymi utworami obcymi, które zmieniają się nieraz prawie do niepoznania, nabierają zupełnie nowego wyglądu, płaczą się z sobą w sposób ogromnie fantastyczny, nieraz groteskowy, ale zawsze pełen prawdziwie artystycznej miary i smaku. Waryanty nieskończone na dany temat, które są jakby śmiałem wyzywaniem coraz nowych trudności, mieszają się jednak powoli coraz częściej z rzeczami, których pochodzenia dochodzić daremnie, zaledwo forma ich znana, przeważnie swojska, czasem swojski motyw a zawsze ogromnie dużo indywidualnego wyrazu — to własne utwory: krawiaki, preludjum, lub dziwna jakaś fantazyja bez końca. Raz po raz nastrój pogodny, prawie rozblaznowany uderzy w takt skoczego oberka lub nawet popłynie banalną nutą jakiejś znanej brukowej piosenki, ażeby za chwilę potem pogrążyć się w zawrotnych głębiach jakiejś jak śmierć silnej a nieśmiertelnie znużonej melancholijnej zadumy; to płyną tony ciche i słodkie, jak pieszczota, niby słowa dziecka ufnie ze swych trosk codziennych przed matką, pod wieczór, się spowiadającego, to znów wybuchają dźwięki śmiałe, harde, wyzywające, niby skarga gwałtowna, nieokielznana... Ale czasem znów jakby grający spostrzegł się, że może za głęboko dał słuchaczom wdrzeć się w tajniki swojej duszy, hymn namiętny buntu lub skarga obłędnego smutku urywa się nagle i przechodzi w nutę ostatniego „ulubionego“ walca z ostatniej popularnej operetki... Męska siła, namiętność głęboka, raz brutalna wprost, to znów miękka, pieszczotliwa, ukojna a na ich dnie smutek bezgraniczny i znużenie, pokonywane jednak ustawicznie żądzą wielką życia i czynu, jakaś moc żywiołowa, która duszę tą niesłychanie bogatą, w pięknie rozkochaną, rwącą się ku wyżynom i słońcu a nienawidzącą szarych, brudnych



pełnych mroku nizin, gnać przymusza naprzód wciąż i naprzód, wierzyć jej każąc — pomimo niewiary, ufać — pomimo zwątpienia i kochać — pomimo klęsk, nienawiści i pogardy...

Taką jest dla mnie muzyka autora „Mangghi“, takim jest jego dzieło dla tych wszystkich, którzy niezrażeni jego rozmiarami, formą i pozornymi sprzecznościami, czytać w nim zechcą i... potrafią. A książka ta wymaga konieczności, żeby na czas jakiś oddać się jej w zupełności. Te „przechadzki po życiu, myślach i sztuce“ — to rzecz w swoim rodzaju jedyna. Powiedziałem już raz na innym miejscu i powtarzam tutaj, że bez przesady nie znam w całej literaturze świata książki tego rodzaju o tak bogatej treści i że chyba tylko dziennik braci Goncourtów, na który składała się praca długoletnia dwóch ludzi, jedynie obok niej dałby się postawić. „Manggha“ powstała w ciągu dwóch lat niespełna, jak to jasno z treści jej wynika, powstała zaś z dnia na dzień w ten sposób, że autor, którego smutek czy nuda i pragnienie poznania życia, składające się u niego na jedną żądzę ruchu, nieustanną gnały po całym prawie świecie cywilizowanym, notował tu zaświeższe wrażenia i myśli swoje w tym porządku, w jakim mu je przynosiło życie, napotykanymi po drodze ludziami i rzeczy, nowe wciąż krajobrazy, miasta, narody, czwilizacje, książki, dzieła sztuki. samotność wreszcie, święta myśli rodzicielka. Co przedewszystkiem cechuje jego dzieło, to właśnie ta bezpośredniość ta pierwotna siła odruchowa duszy na wrażenia świata zewnętrznego reagującej, to tamo, co sprawia, że np. szkic Leonarda lub Matejki droższy jest dla nas od ich dzieł wykończonych. Bujność ogromna, siła, rozmach wszechstronność zdumiewająca tej duszy, dla której niema nic obojętnego, która z każdego najdrobniejszego nawet zjawiska wysnuć potrafi wątek myśli oryginal-

nych, szerokie perspektywy ogarniających jej samodzielność, wroga wszelkim bezmyślnie uznanym autorytetom, szczerść bezwzględna, zawsze do walki z wszystkimi i z wszystkim, nawet z sobą samą gotowa — oto, co nas od początku w książce tej uderza. Rozsnuwa się przed nami szereg nieskończony wrażeń, refleksyj, notat artystycznych, krajobrazów, luźnych aforyzmów, polemik, krytyk, analiz, anegdot, kalemburów — sypie się to poprostu jak z rogu obfitości i urasta w jakąś olbrzymią „*Sylvam rerum... aeternarum et novissimarum*“. I przypominają się mimowoli słowa, które E. de Goncourt wyrzekł o tamtej drugiej „Mandze“, tym piętnasto-tomowym zbiorze szkiców wielkiego Hoksaja, na którego cześć i ze względu na treść pokrewną ta francuska książka „warszawskiego Japończyka“ nosi egzotyczny swój tytuł. „Manggha...“ Ta nieskończoność obrazów, ta powódź rysunków, ta orgia notat artystycznych, tych 15 zeszytów, na których kartach szkice tłoczą się jedne obok drugich jak jajka jedwabnika na ćwiartce papieru — to dzieło, które zaprawdę nie ma równego sobie pomiędzy dziełami żadnego z twórców Zachodu! „Manggha“! Te tysiące reprodukcji gorączkowych tego wszystkiego, co żyje na ziemi, w wodzie i na niebie, te czarodziejskie zdjęcia momentalnie całego życia poprostu — to istny szal na papierze tego wielkiego obłąkańca rysunku z tamtej strony oceanów!...

Niezwykłe rozmiary i wszechstronność tej książki, która dotyka wszystkiego, co tylko w ostatnich przełomowych latach kilkunastu duszą jednostki kulturalnej poruszyć mogło, a z której grafomani nasi z pewnością zfabrykowałyby całą biblioteczkę — oto co nas nawet zrazu (dziś w anemicznej epoce wyspecjalizowań i fachowości!) na niekorzyść jej usposabia... dopóki zwolna nie nabierze się

przekonania, że wszechstronność ta i wynikłe z niej rozmiary książki, to poprostu żywiołowa konieczność tej prawdziwie renesansowej, choć tak bardzo współczesnej zarazem natury, która całokształt życia gorączkowo ogarnąć pragnie. Zresztą, jak gra jego, jest i książka p. Jasińskiego z natury rzeczy, na skutek swego charakteru refleksyjno-krytycznego, przedewszystkiem dziełem odtwórczym tylko. Na skutek tego znaczną większość jej stanowią artykuły krytyczne i polemiczne, tu i owdzie tylko przeplatane ogromnie wytwornemi pejzażami, małemi poemacikami, pełnymi głębokiego, oryginalnego wdzięku. Książka ta, istny kalejdoskop wrażeń najrozmaitszych, nie ma wcale pretensyi — jak tego chcieli niektórzy — być jakimś katechizmem filozoficznym czy artystycznym dla człowieka współczesnego, jakimś „vademecum“, ekstraktem wszelkiej mądrości wiecznej i doczesnej, nie: — to tylko poprostu luźne notatki, dziennik bardzo kulturalnej jednostki współczesnej, któremu tylko jej wyjątkowo silna, bogata i śmiała a wybitnie artystyczna indywidualność nadaje wartość wielką nawskroś artystycznego i bardzo współczesnego dokumentu.

Niezmożona energia z podkładem głębokiej melancholii to — jak powiedzieliśmy — tło tej natury refleksyjnej, pod maską krytycyzmu namiętnie uczuciowej o przewadze znacznej elementu artystycznego; to też są także czynniki główne, które razem wzięte nadają ton całej książce, przybierając w niej to rozmach szeroki entuzjazmu lub oburzenia, to znużony grymas wątpliwego o wszystkim sceptycyzmu. Na każdym kroku sprzeczności, nieraz paradoksy, głębie obok połyskliwej tylko powierzchni słów, sprzeczne wrażenia, sprzeczne uczucia. Ale powiedział Nietzsche-Zarathustra, który (jak nikt drugi chyba) na sobie samym



tego doświadczył: „Tak zwanych paradoksów autora, na które oburza się czytelnik, nie należy często szukać w książce, lecz w mózgu czytelnika“. Tak i tu zwolna wszystko sprzeczne układa się w jedną bardzo szlachetną, choć nieraz może „przerysowaną“ linię, w jeden rytm duszy, która w szerokim świecie zjawisk współczesnych, pod różnemi szerokościami geograficznymi, wśród kultur najrozmaitszych przeszłości i teraźniejszości — swego „ja“ ogólnoludzkiego niestrudzenie szuka a swoje „ja“ współczesne na każdym kroku odnajduje, z życiem i z sobą się szamoce, zwycięża, to znów zwyciężona upada, by znów, podźwignąwszy się, naprzód i naprzód ku słońcu jutra przez mgły i mroki podążać... Raz wdarszy się w ten gąszcz olbrzymi, prawdziwą rozkoszą jest błędzić po nim naoslep to w tę to w tamtą stronę, to podróżować z autorem na Wschód, do Palestyny i Egiptu, to zwiedzać muzea londyńskie lub „flanować“ z nim po paryskich bulwarach, przebiegać wszystkie prawie środowiska kulturalne Europy, podziwiać cuda przyrody i skarby wiedzy i sztuki ludzkiej przez wieki i narody rozmaite nagromadzone, czując przytem na każdym kroku, że się ma obok siebie kogoś, kto zawsze sobą pozostać umie, ma otwarte oczy i serce, temperament i fantazyę, ogromną i wielostronną erudycyę, smak wyrobiony a wytwórny, kompromisów żadnych nie uznaje i śmiało prawdę — swoją, chociażby najprzykrzejszą, wprost w oczy wypowiada. Kto raz tę książkę pozna, nie tak prędko się z nią rozstanie, nie zapomni jej nigdy i nieraz jeszcze do niej powróci.

Ale nie wiem, czy prawdziwych przyjaciół zyska ona sobie wielu, bo choć „wer vieles bringt, wird jedem etwas bringen“, to jednak zanadto ona śmiała i zanadto jeszcze swoją epokę wyprzedza.

Zauważyć tu jeszcze potrzeba, że treści bujnej i rozmaitej odpowiada bujna i rozmaita forma, zawsze ogromnie indywidualna, zawsze jednak jasna i przejrzysta, na najlepszych wzorach francuskich, zwłaszcza na ulubieńcach autora A. France'a i J. Lemaitrze, wyszkolona; to skrząca werwą i dowcipem przechodzącym nieraz w nawpół błazeński humor bulwarowego gawrosza, to pełna śmiałego polotu i prawdziwie poetycznego uroku, czarująca subtelnymi półtonami; to cięta, ostra jak klinga damasceńska, to pieściwa, miękka, skąpana w bolesnej zadumie i rezygnacji. Na ogół to styl felietonistyczny z wszystkimi swymi zaletami, tak bardzo francuski, że wprost nie do przetłómaczenia, z mnóstwem swoich nieraz do zbytku śmiałych „jeux de mots“. Innym razem to trzeźwe rozumowanie, od którego logiki nieubłaganej aż zimnem wionie, lub szerokie freskowe malowidło, czasem znów spokojny, blade pastel lub upajająca harmonią swych barw pogodnych akwarela. A nigdzie ani śladu nawet rozwlekłości, same ekstrakty, wrażenia i myśli, niby w liebigowskich tyglach skondensowane. Rzeczy biegunowe od siebie oddalone łączą przejścia raptowne, przeskoki karkołomne a tego rodzaju, że podobnych szukać chyba w Beniowskim lub u Heinego. Dlaczego tę książkę napisał Polak po francusku? Odpowiedź na to pytanie tak łatwa i trudna zarazem, że na nią nie odpowiadam, sądząc sam, że tak a nie inaczej napisać ją musiał a „dopatrywanie się 333 przyczyn tam, gdzie już 33 jest aż nadto, jest doprawdy chyba zbyteczne“.

Miarą wartości duszy ludzkiej jest dla mnie przede wszystkim entuzjazm, do którego dusza ta jest zdolna... albo oburzenie, skoro oburzenie jest właściwie entuzjazmem „à rebours“ tylko. „Manggha“ w przeważnej części swej jest polemiką i satyrą. Autor jej wyrusza w bój zaciekły

przeciwno wszelakiemu flisterstwu w życiu, nauce, sztuce i literaturze, śmiało wydrwiwa i po kolei obala ideały różne i autorytety p. Prudhomme'a, atakuje jego fałszywą moralność i faryzeuszowską pruderyę, jego etykę i zapatrywania polityczne, społeczne, estetyczne, filozoficzne, poniewiera wprost fetyszami rozmaitymi koftuństwa jego i snobizmu, nie zważając czy to będzie Bouguereau czy Siemiradzki, Rostand czy tzw. klasycy francuscy, Kaulbach czy Anton Werner, „wujaszek“ Sarcey, czy p. Brunetière z „Revue des deux mondes“. Och, p. Brunetière'owi dostaje się w tej książce ustawicznie! Jest to po prostu „bête noire“ autora, na którą napada co parę stronie prawie (aż do zbytku często doprawdy!); atakując to wstępnym bojem to znieca, by walczyć z nią konno albo pieszo, w polu albo na udeptanej ziemi, a zawsze na śmierć i życie, którą oddając jej zresztą sprawiedliwość, gdzie na to zasługuje (jak wszystkim wrogom wogóle), wyszydza co krok bez miłosierdzia... „M. Brunetière vient de faire paraître un „Manuel de la littérature française“, relié en mouton (librairie Delagrave. On dirait du veau...“ Autor wychowywać się musiał chyba w domu, w którym „Revue des deux mondes“ najwyższą instancję we wszelkich zagadnieniach intelektualnych stanowiła?—Ale komuż się tam wogóle w jego książce nie dostaje?! Oberwało się dobrze Zoli (le dernier des poètes épiques, qui pour écrire ses épopées tremperait sa plume... dans la chose de Cambronne i Mallarmé'emu (och, ten piekielny figiel z tą wyborną parodią jego wiersza!), Barbey d'Aurevilly'emu i Ohnetowi, całej prawie poezji francuskiej i muzyce włoskiej, którym p. J. z małymi wyjątkami, mian tych wprost odmawia. Maeterlinckowi (za jego „Serres chaudes“) i profesorom niemieckim, niestrudżonym komentatorom drugiej części Fausta,



melomanom angielskim i francuskim przerabiaczom Szekspira. Dostało się Bismarckowi i Boulangerowi, dreyfusistom i antidreyfusistom, liberałom i klerykałom, katolikom i bezwyznaniowcom, arystokracji i demokracji, militaryzmowi i socyalistom; Wilhelmowi II i francuskiej polityce. Przedewszystkiem jednak dostaje się Francyi. Autor „Mangghi“, znając wybornie Francję i Paryż, serce jej, nie dawszy się złudzić rzeczywistej cywilizacyi i tym pozorom kultury francuskiej, która tak bardzo Podfilipskim naszym imponuje, sięga głębiej i widzi wyraźnie cały rozkład wewnętrzny tego potężnego społeczeństwa. Więc choć tak przepada za barwnym, jedynym w swoim rodzaju obrazem bulwarowego życia paryzkiego, cienistemi galeryami Luwru i szykiem paryskich kobiet, za A. Francem i J. Lemaînem, choć tak lubi La Rochefouand'a Montaigne'a, Saint Simona, pamiętnikarzy francuskich w. XVIII, Renana, Taine'a, Maupassanta, podziwia Napoleona, Marchanda (nigdy atoli bez zastrzeżeń) — mienawidzi jednak francuskiej blagi, biurokracyi, militaryzmu, parlamentaryzmu, systemu edukacyjnego, francuskiej „poezyi“ i deprawacyi... Nie może też ta jego „książka o Francyi“, jak ją w „Critique indépendante“ nazwał p. Lorentowicz, spodziewać się sympatyi u przedstawicieli zarozumiałej „grrrande nation“ francuskiej. Nie może jej zresztą również spodziewać się (pomimo jednych z najpiękniejszych w całej książce ustępów o malarstwie angielskiem ani w Anglii, której przy całym uznaniu dla jej kultury, podobnie jak niegdyś Heine, uwag gorzkich nie szczędzi; ani w Niemczech (pomimo ślicznych ustępów o kobiecie niemieckiej i głębokiego uwielbienia dla Goethego, Heinego, Klingera); ani we Włoszech (choćby tylko za lekceważące słowa o znanej „muzykalności“ włoskiej); ani u nas wreszcie, gdzie jedno-

głośnie gotowi ją potępić Podfilipscy, Płoszowscy i „obłąkańcy dogmatu“ wszelkich odcieni. Jedni będą się zachwycać pełnemi finezyi i głębokiego znawstwa psychologicznego ustępami o kobiecie a oburzają się na ustępy śmiało w obronie praw kobiecych występujące, drudzy będą podziwiali np. ten opis cmentarza w Brindisi lub opis majowego nabożeństwa w polskim kościółku wiejskim a nie darują autorowi choćby tej tak charakterystycznej rozmowy z kardynałem Czackim, itd. Tego ucieszy to, lecz ubodzie znowu tamto, niejednen już gotów był iść ręką w rękę z autorem a tu natknie się nagle na zdanie o tej samej osobie lub o tym samym przedmiocie, na punkcie którego przed chwilą z autorem tak zupełnie się godził — i oto z gotowego już wielbiciela przemieni się raptem w jego najzacieklejszego wroga. Zaprawdę, trudno było o lepsze motto dla tej książki... Prawdziwie wolteryńska niechęć do wszelkiego dogmatu i metafizycznych spekulacyj, do pedantyczno-arbitralnego profesorstwa i owczych pędów mas, cechuje ten umysł nawskroś nowoczesny, skory do wątpienia o wszystkim, nawet o swych własnych wątpliwościach, przekonany głęboko o względności wszystkiego, nawet samej względności, dla którego prawda tysiące ma twarzy a prawda własna, za którą walczy tak namiętnie, jest jedną zaledwie z tego tysiąca a może nawet pięknem, tylko i drogim złudzeniem. Ironia jego, to rana wciąż krwawiąca, to nieukożona tęsknota za nieucieleśnionym ideałem a sceptycyzm tylko formą odwrotną miłości i wiecznie przez życie deptanej, ale niezmożonej wiary w ludzkość i jej idealne cele.

Kończy się „Manggha“ (na str. 990.) następującemi słowy: „Słowa seneki są i pozostaną prawdą.“ „Utyskiwali

nasz przodek, po nich my utyskujemy; po nas potomkowie nasi również utyskiwać będą, niemniej atoli świat pozostanie ten sam, taki i owaki, jak tałe toczony przypływem i odpływem niezmiernego oceanu“. Świat nie jest ani tak dobry, jak twierdzą optymiści, ani tak zły, jak utrzymują pesymiści; a jest może w wielu wypadkach takim, jakim go mieć chcemy. Gdy wreszcie natura ludzka się poprawi, świat stanie się lepszy a życie szczęśliwsze, pomimo nieszczęść nieuniknionych. Ale czy człowiek da się doskonalic? A jeżeli się da, w jaki sposób będzie to czynił? Istnieje bowiem na to trzydzieści tysięcy sposobów. A jeżeli jeden z nich wybierze, jakżeż będzie można się przekonać, że właśnie obrał sobie prawdziwy, skoro niema ani jednego pomiędzy nimi, któryby nie miał zaciekłych przeciwników a przeciwnicy ci mogą być w błędzie, ale mogą również mieć i słuszość? Nie wiemy nic. Pozory, zawsze pozory, nawet na dnie mikroskopów... a i to nawet jest złudzeniem, bo człowiek, kiedy cierpi, wie o tem, że cierpi; ale czyż znówu mądrość życiowa nie uwalnia od cierpień, które z przywiązania do życia się rodzą? Rozumieć — znaczy zobojećnieć, znaleźć pokój. Żywa śmierć zatem? Więc pocóż życie? I czemuż jest to życie? Ale na cóż te pytania daremne, stawiane przed miliardy istot, które myślały w następstwie czasowem wieków, idąc nie wiedzieć skąd, nie wiedzieć dokąd zdążając? Sfinks był niemy i pozostanie nim już może na zawsze. Niewzruszony kryje swoją tajemnicę przed falami ludzkiemi, które życie pod stopy jego przywała a które śmierć usuwa. Tragedya czy komedya? któryż akt jej rozgrywa się obecnie dla ludzkości? Jakie będzie rozwiązanie? Będzie-ż wogóle jakie rozwiązanie? Dla jakiejże publiczności skaczymy, nędzne marynetki? A ta publiczność oklaskuje-ż ona czy wygwii-



zduje autora czy reżysera tej sztuki, która nam łązy prawdziwe i prawdziwą krew wylewać każe? „Pocałunki i miłości, pierzchliwe jak cienie, i życie również do marnego cienia podobne. . . czyż możesz sądzić, siostró moja, że wszystko trwa wieczyście, prawdziwe i niezienne? To, cośmy ukochali, to, cośmy za własność naszą uważali, rozwiewa się jak sen. I serca zapominają i oczy zamykają się na sen wieczny...“ (Heine). *W i e c z n y?* Tak, musi się tego pragnąć, gdyż sen wieczny jedynie nie jest w stanie zabić żal — tego robaka gryzącego serca, które zapomnienia nie znają. A jednak, zanim przyjdzie zasnąć snem tym wiekiustym, potrzeba żyć a jakże żyć bez nadziei? Uprawiajmy każdy swój ogródek, spełniając pilnie rozliczne nasze obowiązki. Chociaż sami jesteśmy nędzarzami, znajdziemy większych jeszcze od siebie nędzarzy i będziemy mogli ich wspomagać, serca nasze i rozum ich usłudze poświęciwszy. Pomimo wszystko, trzeba koniecznie zachować nadzieję i ufać w lepszą przyszłość, przyszłość przewidzianą i przepowiadaną przez dusze szlachetne i wzniosłe, które, wzbiwszy się ponad ludzkość, dalej od niej wzrokiem sięgnęły. My, biedni ślepcy, włóczący się po padolach życia, mający nogi okute w łańcuchy naszych błędów, trosk i nieszczęść osobistych, nie spostrzegamy jawiącej się na skraju widnokregu bladej łuny, która wschód słońca prawdy i sprawiedliwości obwieszcza,

Ale poeci widzą jasno, sięgają wzrokiem daleko, gdyż zwysoka spoglądają. W tem umiłowaniu sprawiedliwości, w tej wierze w tę jasność promienną, spotkały się właśnie bratnie dusze takich Mickiewiczów i Puszkiniów. Złuda, chimera? Nie, to rzeczywistość. Podążajmy śladem poetów, krocmy coraz wyżej w pokoju i zgodzie ku temu słońcu, którego jeszcze nie dostrzegamy, ale które kiedyś zajaś-

nieć musi i które istnieje, bo dusza ku niemu się wyrывa a oglądał je boski Ukrzyżowany, On, który krwią własną prawdę swego świadectwa przypieczętował. Mędracy przemijają, poeci trwają — nieśmiertelni. Prawda rzeczywista, to właśnie te sny szlachetne, o których marzy i którymi żyje ludzkość. Sully-Prudhomme powiedział:

Que la raison fait le jour triste!

Mais ou finit son examen

Quelque chose de grand subsiste:

Le battement du coeur humain!

.....

Nie usiłując nawet rozebrać krytycznie ani streścić książki, której streścić poprostu niepodobna, starałem się tylko dać jej ogólne wrażenie i wydobyć główne znamiona duszy, której ta książka jest odzwierciedleniem. W epokach przejściowych na dnię dusz twórczych albo przynajmniej szerzej i głębiej w życie patrzących, większa niż kiedyindziej kryje się zazwyczaj melancholia, ta melancholia, o której mówi Słowacki, że jest ona skrzydłem anioła unoszącem ich w zaświaty ich poetycznych światów. W ostatnich latach widzieliśmy też różne okazy melancholików... seksualnych, ascetycznych, nastrojowych, syntetycznych i lekkomyślnych melancholików. Autora „Mangghi“ nazwałbym melancholikiem zapalczwym. W tej chwili „dziwnie osobliwej“ jawi się on w literaturze i życiu naszym duchowym, jako typ nowy, mający w sobie wiele znamion schyłkowych jeszcze, więcej już jednak renesansowych — tak, że go wraz z jego działalnością praktyczną do progónów już zaliczać należy. Ten „syn obywatelski, który poszedł w literaturę i sztukę“, wyparł się dawnego swego ciotecznego wuja Płoszowskiego, choć spotykali się dawniej często w bibliotekach, „K u p f e r s t i c h k a b i-

nettach“ i u rzymskich antykwarzy, nauczył się wiele od kuzyna Połanieckiego, którym jednak głęboko pogardza, podobnie jak lekceważy Falka, który uporeczywie do wspólnego z nimi starszlacheckiego pochodzenia się przyznaje a z którym do niedawna jeszcze schodzili się na bulwarach i zgromadzeniach robotniczych i w niejednym doskonale rozumieli. Powiedziałem już raz, że w duszy autora „Mangghi“ jest wiele z duszy Korzeckiego z „Ludzi bezdomnych“ z tą różnicą, że (pokutujący w każdym z nas) Korzecki przybrawszy tę nową postać... nie strzelił sobie w łeb, lecz został komiwojażerem założonej w Zagłębiu fabryki kortów angielskich. Nasunęło mi się to uzupełnienie różnic w powyższej analogii zachodzących, pewnego razu o szarej godzinie, kiedy autor „Mangghi“ fantazyował po swojemu na fortepianie a ja zastanawiałem się właśnie nad jego postacią fizyczną i duchową i raz po raz w myślach odnajdywałem w nim to Polaka, „Lacha serdecznego i ognistego“, to „Globetrottera“ kosmopolitę i znachodziłem w jego duszy elementy różne, wczorajsze, dzisiejsze i jutrzejsze już może, walczące z sobą i dążące wśród ciągłych rozdzźwięków do syntezy i harmonii, jak te tony, które z pod palców jego płynęły a w tej chwili właśnie w jakiś potężny, śmiały hymn tryumfu wzbierały... Błada niebieskooka twarz przemysłowca z ostatniej powieści Żeromskiego... zamajaczyła przedemną... Nie! sztuka jest dla naszego społeczeństwa czemś więcej, aniżeli kosztownym tylko materiałem, z którego zręczni krawcy fabrykują wytworne garnitury, by w nich „wybrańcy losu“ po jour fix'ach snobizmu paradowali, ona która także jest „pielgrzymem, co się w drodze trudzi przy blaskach gromu...“

Adam Cybulski.



## Z ekonomicznych dziejów Polski.

---

(Adam Szelegowski „Pieniądz i przewrót cen w XVI i XVII wieku w Polsce“, Lwów. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. 1902, str. 317 XII).

---

Badania historyczno-ekonomiczne należą u nas do najmniej uprawianych. Mamy wprawdzie w tym zakresie prace Korzona, Pawińskiego, Gargasa, Marchlewskiego i innych, ale wszystkie one, razem wzięte, stanowią zaledwie drobną cząstkę tego ogromu, jaki pozostał do opracowania. Dopiero w ostatnich czasach, zwrócono baczniejsze oko na tę zapomnianą dziedzinę historii naszej. Dochodzą nas głosy o kilku usiłowaniach w tym względzie. Jednym z nich jest praca p. Szelegowskiego. Stanowi ona poważny przyczynek do historii handlu i miast, tudzież polityki ekonomicznej w Polsce. Autor stoi na stanowisku Schmollera; przyznaje on znaczenie czynnikom ekonomicznym w dziejach, lecz uważa je, jako podwładne woli i rozumowi ludzkiemu. Z tego ewolucyjnego punktu widzenia, rozbiiera kwestyę pieniądza a wraz z nią kwestyę cen w Polsce od początku XVI w. aż do schyłku XVII, wyjaśniając główne rysy jej „duchem czasu“, t. j. kierunkami i zapatrywaniem, jakie przeważały w danej epoce, wśród danych warunków u nas.

Odrodzenie, budząc z uśpienia umysłowość europejską, zbudziło wszędzie i myśl ekonomiczną. U nas, wpływ odrodzenia na literaturze ekonomicznej odbił się najsilniej w pracach Kopernika. W memoryale „De aestimatione monetarum“ Kopernikowi chodzi o bicie pieniądza wyższej próby, o zniesienie prawa miast do bicia pieniądza i zastąpienia wielu mennic jedną powszechną dla całych Prus. W traktacie „De optima monetarum cudendarum ratione“ (1526) zwraca uwagę na kwestyę porównania pieniędzy pruskich z polskimi, podaje projekt założenia dwu mennic: dla korony i dla Prus; podaje projekt monety polskiej i koronnej i żąda, aby zarówno pruski i koronny pieniądz miały obieg jednakowy w całym państwie. Między memoryałem a traktatem, niema sprzeczności poglądów. Podług Kopernika pieniądz jest miarą powszechną cen, podobnie jak łokieć miarą długości, ćwierć—objętości, funt—wagi. Ale do znaczenia miary cen pieniądza, zdaniem jego, dochodzi jedynie jako kruszec—złoto lub srebro, wybite i ostemplowane. Cena pieniądza winna być wyższą niż jego wartość ze względu na koszt bicia, na dochód panującego ze stempla i ze względu na to, by nie przetapiano pieniądza na kruszce.

Z tego również powodu nie należy puszczać w obieg zbyt wielkiej ilości pieniądza. W takim bowiem razie kruszec jest bardziej poszukiwanym, niż pieniądz i znowu ten ostatni może być przetapianym. Najbardziej atoli zasadniczem jest twierdzenie Kopernika, że w obiegu zły pieniądz wypiera dobry. Nauka podniosła to twierdzenie do godności prawa i ochrzciła mianem Greshama, aczkolwiek sformułował je wcześniej Kopernik. Przechodząc do skażenia pieniądza, widzi w niem jedną z przyczyn nachylenia się ku zgubie państw i republik. W kwestyi zmiany stopy pieniężnej oświadcza się Kopernik stanowczo za wyż-

szą stopą pieniądza — a ma na widoku korzyści wszystkich warstw ludności w sprawie tej interesowanych. Nie pomija również stałego określenia ceny złota i srebra i stosunek ich podaje jako mniej więcej stały = 1 : 11 lub 1 : 12. Z innych pisarzy w Polsce, których przedmiot rozważań stykał się z dziedziną ekonomii, najwybitniejsze po Koperniku miejsce zajmuje Andrzej Frycz Modrzewski. W traktacie swym „O naprawie Rzpltej“ zastanawia się nad niedomaganiem społecznymi, wynikającymi z wahania się cen skutkiem zmiany wartości pieniądza. Przyczynę złego widzi w odpływie pieniądza za granicę tudzież w fałszerstwie. Co do pierwszego, radzi wyżej szacować pieniądza niż kruszec, co do drugiego — surowo karać fałszerzy. Deprecyację pieniądza objaśnia „swawolą“, drożyzną — chciwością kupców. Związku między drożyzną a ceną pieniądza nie upatruje wcale. Pod jednym wszakże względem wyłamuje się Modrzewski z ciasnych formułek kano-nistycznych: „Pieniądz jest dla niego nerwem wojny“. To przypisywanie szerszego zadania pieniądźowi w zakresie polityczno-mocarstwowym przez Macchiavellego, San-sowina i innych przyswaja sobie Modrzewski. Już w drugiej połowie XVI w. przebija i u nas coraz wyraźniej prąd merkantylistyczny. Jednym z przedstawicieli tego prądu jest Andrzej Ciesielski. I on w taktacie swym „De moneta corrupta“, jako statysta, uważa pieniądza za „nerw wojny“, „albowiem bez niego ani żołdu płacić, ani wojny prowadzić nie można“, ostro chłószcze psucie się monety w Polsce; wypowiada się stanowczo za wyższą stopą pieniężną; mając na względzie podatki i zaopatrzenie skarbu Rzpltej, domaga się podniesienia miast i rozwoju handlu i proponuje, aby kupcy nasi nie jeździli za granicę a tylko, aby zagraniczni kupcy przybywali do nas i tutaj na miej-



scu kupowali nasze towary. Tym sposobem pieniądz do-  
bry nie odpływałby, owszem napływałby do kraju a prze-  
to powiększałoby się bogactwo narodu (główne twierdze-  
nie merkantylistów). Dyalog St. Sokołowskiego p. n.  
„Questor sive de parsimonia“ ma charakter raczej filozoficz-  
no dydaktyczny, niż ściśle ekonomiczny. Niedomagania  
życia publicznego i prywatnego w Polsce przypisuje on nie  
przyrodzonej biedzie kraju, tylko rozwielenionemu zbyt-  
kowi, częstym podróżom do obcych krajów i radzi wszcze-  
piał od dzieciństwa w każdym oszczędność. Wyrazem sil-  
nie rozbudzonego zajęcia się naszego społeczeństwa spra-  
wami ekonomicznymi, których osiǳ jest kapitał, jego obro-  
ty, zyski i t. d., jest traktat M. Śmigleckiego „O lichwie“.  
Zgodnie z nauką kanonistyczną uważa kapitał jako czynnik  
nieprodukcyjny; nie odróżnia pieniądza od kapitału. Od-  
stępuje atoli od zasad kanonistycznych, nie uważając obraca-  
nie pieniędzmi w handlu ani za rzecz szkodliwą, ani za  
przynoszącą ujmę. W teoryi cen zbliża się najbardziej do  
pojęcia wartości rynkowej. Podług niego „cena rzeczy  
zawisła od wielu okoliczności: czasu, miejsca, niebezpie-  
czeństw, dostatku pieniędzy, dostatku tych co kupić mo-  
gą i t. d“. Na każdym kroku czyni zatem ustępstwa z teo-  
ryi na rzecz praktyki.

System menniczny w Polsce, jak i wszędzie, opierał  
się na ordynacyi Karolingów. Prawo bicia pieniądza nale-  
żało zawsze do przywilejów królewskich. Jako jednostka  
monetarna wszędzie służyła waga (w Anglii do dziś funty  
szterlingów): u nas ustaliła się waga grzywny. Podziały  
sprawiły brak jednostajności pieniądza w Polsce. Dopiero  
statut Wiślicki postanowił, ażeby była „jedna i równa  
moneta w całym państwie“, jak również, aby była „nie-  
zmienną i dobrą zarówno co do wartości swojej jak i wagi“.

Obniżano bowiem w celach fiskalnych wartość pieniądza i fałszowano go, co wywoływało zmiany w cenach żywności i innych towarów. Konsolidacja państwowa za Jagiellonów wymagała jednostajnej monety obiegowej a jednocześnie handel międzynarodowy potrzebował środków wymiany, któreby znajdowały równe przyjęcie na wszystkich rynkach handlowych. Polska za Zygmunta Starego wkracza właśnie na te drogi. Z jednej strony dokonywa się zrównanie pieniędzy polskich z litewskimi (1501 r.) i pruskimi (1528 r), z drugiej zapoczątkowanie waluty złotej (1528 r) i wydoskonalenie wymiany przy pomocy nowych rodzajów pieniędzy. Do XVI w. bito w Polsce jedynie monetę srebrną. Złota moneta bita u nas za Łokietka, służyła wyłącznie na świętopietrze. Monetą obiegową do XVI w. były półgroszki, dopiero Zygmunt wznawia uchwałą sejmową z 1526 r. bicie całych groszy, denarów albo obolów i ternarów. Wobec ujawnienia dowozu monety fałszywej z zagranicy (w 1516 r. w Raciborzu; w 1519 w Świdnicy) Zygmunt Stary w 1524 r. zakazał a następnie w 1527 r. obostrzył zakaz wyjazdu kupcom polskim za granicę a mianowicie na Śląsk i do sąsiedniej Marchii na przeciąg lat 10. Jest to początek owego merkantylistycznego systemu ochrony i przyciągnięcia pieniądza, systemu, który w 1565 r. doprowadził do uchwały ogólnej, zakazującej kupcom polskim trudnienia się handlem z zagranicą. Nie należy atoli w tych zarządzeniach widzieć ciosu wymierzonego warstwie kupieckiej ze strony szlachty, albowiem w Polsce, jako w kraju przeważnie rolniczym, wytwórcą na wywóz była szlachta, jej przeto przedewszystkiem powinno było szkodzić zamknięcie granicy.

W pierwszych wiekach swego istnienia Polska bierze udział w handlu europejskim międzynarodowym o tyle,

o ile drogi jej, zwłaszcza system wodny, łączyły się z drogami wielkoświatowemi. Oparcie się o brzegi morza Czarnego, panowanie nad drogami wodnemi (Dniepr, Dniestr), biegnącemi na południe, to były podstawy handlu zagranicznego Polski w w. XIV i XV. Handel ten miał przeważnie charakter tranzytowy. Po usadowieniu się wszakże Turków w Europie w drugiej połowie XV w. zamarł handel ze Wschodem. Usiłowania Polski, aby obudzić ruch uśpiony od południa, spełzły na niczem. Z zawarciem żeglugi czarnomorskiej i upadkiem handlu lewentyńskiego Polska zyskała sobie dzięki pokojowi Toruńskiemu napowrót stanowisko w handlu wszechświatowym. Szczęśliwym zbiegiem wypadków, pokój Toruński (1466) zszedł się prawie jednocześnie z dwoma wszechświatowemi zdarzeniami: z upadkiem Konstantynopola (1453) i z odkryciem Ameryki (1492). Z odkryciem ostatniej zaniechano dawnych dróg lądowych na Wschód przez Aleksandryę, Konstantynopol, Krym. Handel śródziemnomorski utracił swoje dotychczasowe, wszechświatowe znaczenie a jego miejsce zajął handel oceanowy. I w samej Europie punkt ciężkości handlu przenosi się powoli z południa na północ, na morze Niemieckie i Bałtyk. Dzieje się to z tego powodu, iż kraje położone nad Bałtykiem, głównie polskie, stają się w XVI i XVII w. śpichlerzem Europy. Handel bałtycki staje się osią handlu europejskiego a Hollandya pierwszorzędną potęgą handlową i morską na wodach Bałtyku. Ta zmiana kierunku dróg wywarła bardzo doniosły wpływ na ukształtowanie się stosunków społecznych i politycznych w kraju. Sam charakter handlu, dotychczas przeważnie przewozowy, zmienia się na wywozowy i przywozowy. Pozyskawszy nowe rynki zbytu, Polska przeobraża się wyłącznie w kraj produkujący zboże na wywóz. Całe dotychczasowe u nas



gospodarswo chłopskie i czynszowe zamienia się na folwarczne z coraz bardziej intensywną uprawą roli. Z upadkiem dawnych dróg śródlądowych, podcięty został jeden z nerwów rozwoju i bogactwa miast polskich. Handel z przewozowego staje się spławnym a dalej morskim. Wszystkie korzyści z tej zmiany spływają na miasta pruskie, zwłaszcza na Gdańsk. Od pokoju Toruńskiego Gdańsk rośnie stale w bogactwo i potęgę, która trwa odtąd nieprzerwanie w ciągu XVI i XVII w., kiedy właściwie przypada jego rozkwit. Staje się on wówczas najznacniejszym miastem handlowym na całym Bałtyku. A stanowisko to swoje miał do zawdzięczenia z jednej strony wyjątkowemu i uprzywilejowanemu położeniu, jakie zajął wobec Polski, z drugiej zaś — upadkowi Lubeki (1544 r.). Zależnie od nowych czynników handlu międzynarodowego, musiał się zmienić kierunek i charakter polityki ekonomicznej w Polsce. Interesy handlu wywozowego musiały wziąć górę nad interesami handlu przewozowego a interesy produkcji rolnej nad wszystkimi innymi stronami gospodarczego rozwoju kraju.

Od połowy XV w. Polska wstąpiła na drogę niczem nieograniczonego wywozu zboża i surowych produktów za granicę. W tym celu przedewszystkiem zniósła wszelkie cła wodne i lądowe, utrudniające handel wewnątrz kraju. Był to krok niezmiernie doniosły i niebywały na te czasy. Pod wpływem nieograniczonego wcale wywozu, zarówno gospodarka rolna jakoteż handel zbożowy rozkwitły—a to było jedynem prawie źródłem bogactw kraju w XVI i XVII w. Schyłek XVI w. i pierwsza połowa XVII są przejściowemi w ekonomicznym rozwoju Rzpltej. Mamy tutaj początek owej polityki handlowej szlachty, osławionej z rzekomego podkopania interesów miast, przemysłu i handlu. Autor

stanowczo zaprzecza świadomej u szlachty dążności zgubnej względem miast w XVI wieku. Pominięcie miast, jako czynnika prawodawczego w sejmie, objaśnia niechęcią miast wogóle należenia do sejmu a zaściankowością pruskich miast w szczególności. Cała polityka handlowa szlachty w XVI w i XVII w. zmierzała do powstrzymywania drożyzny. Polityka ta w zasadzie nie miała na celu szkodzenia miastom lub żywiołowi kupieckiemu. Myślą jej było uchronić odbiorców wszystkich stanów od niesumienego wyzysku wytwórców obcych i ich pośredników—handlarzy. Tak powstały prawa zamknięcia granicy dla kupców miejscowych, taksy towarów, w dalszym ciągu—prawa o zbytku. Podstawy handlu każdego kraju polegają na drogach i kierunkach handlu wszechświatowego. Po przeniesieniu się punktu ciężkości całego handlu europejskiego nad Bałtyk i handel polski przenosi się ku miastom pruskim a zwłaszcza do Gdańska, którego handel jest zatem kluczem do zrozumienia dziejów handlu w Polsce w XVI i XVII w. a polityka Polski względem tego miasta jest uzupełnieniem polityki krajowej w XVI i XVII w.

Gdańsk, od r. 1466 główny port wywozowy i środowisko całego handlu zbożowego dla Korony, staje się w 1565 roku pierwszym rynkiem i składem dla towarów, tak przywożonych do Polski, jak z niej wywożonych. I nie tylko w handlu polskim, ale w całym prawie handlu bałtyckim zajmuje najpierwsze miejsce w XVI i XVII w. Znaczenie jego prześciga ogromnie rolę Lubeki, nie mówiąc już o innych miastach pruskich, jako Króleweu i Elblągu a ruch handlowy Gdańska można w przybliżeniu ocenić na  $\frac{3}{5}$  całego ruchu handlowego na morzu Bałtyckim. Podobnie jak prawodawstwo ekonomiczne Polski cały nacisk położyło na handel produktami surowymi i za wszelką cenę po-

pierało jego wywóz, tak Gdańsk znowu w polityce swej względem Polski miał głównie na widoku interes kupiecki, merkantylny — czyli ochronę autonomii, praw i swobód miasta, wreszcie domaganie się nieograniczonej wolności handlu. To dążenie Gdańszczan z jednej strony, interesy zaś wywozu z drugiej — doprowadziły do tego, że nawet w czasie wojen Rzpltej z sąsiednimi mocarstwami, Gdańsk zachowywał neutralność, która zgadzała się zupełnie z interesami szlachty, jako głównej producentki zboża i dostawczyni jego za granicę. Dla tego też szlachta zawsze broniła neutralnego stanowiska Gdańska: portu gdańskiego nie zamykano nigdy, choć sejmy uchwalały zawarcie innych portów. Od wcielenia Inflant do Polski (1561 r.) interesy Bałtyku poczynają nabierać dla Polski znaczenia pierwszorzędnego i to zarówno pod względem handlowym, jak politycznym. Rozpoczyna się walka o panowanie nad tem morzem pomiędzy Danią, Polską i Moskwą. W imię wspólnych interesów całego państwa, królowie polscy, bez których potężnej opieki Gdańsk nie byłby pozyskał większości swych przywilejów handlowych, nawet w obcych państwach, usiłują zaprzężyć to polskie emporyum do ponoszenia zarówno ciężarów podatkowych, jak i wojennych, których wymagała walka. Tu mamy znowu punkt wyjścia dla późniejszych konfliktów z Gdańskiem, jakie zdarzały się zarówno za Zygmunta Augusta, Batorego, jak i dwu Wazów. Dążenie atoli polskich królów do złamania oporu Gdańszczan rozbijało się zawsze o słabość Polski na morzu. Jedynie Władysław IV był najbliższym urzeczywistnienia wszechwładzy królewskiej na morzu. Ale wypadło to w chwili, kiedy handel gdański przeszedł już apogeum swego rozwoju. Drugi i trzeci dziesiątek XVII w. były najpomyślniejszym okresem w handlowym rozwoju Gdańska i jednocześnie.



nie okresem najszerszej ekspansji Polski na zewnątrz — ekspansji nie tylko na polu handlowym, ale i politycznym. Dopiero wojna szwedzko-polska, polityka celna Gustawa Adolfa na morzu Bałtyckim, wreszcie system kaperski Spirynga, zadały ciosy dotkliwe handlowi gdańskiemu oraz wywozowi z Polski. Jednocześnie od połowy XVII w. handel zbożowy europejski zwraca się częściowo z morza Bałtyckiego na Białe. Polska traci swoje wyłączne stanowisko rynku zbożowego dla Europy.

Niebywały napływ kruszców szlachetnych z Ameryki do Europy wywołał w ostatniej wielką rewolucję ekonomiczną, rewolucję cen. Przy ścisłym związku, jaki zachodził między rozwojem handlu na Zachodzie a u nas, wpływ ogólnoeuropejskiego rynku pieniężnego na rynek pieniężny Polski a co za tem idzie — oddziaływanie napływu kruszców na ceny, musiało się zaznaczać coraz bardziej i coraz dalej posuwać się w głąb kraju. Przemysł fabryczny między połową XVI w. a XVII był u nas słabo rozwinięty. Większego znaczenia nawet w handlu zagranicznym dosięga tylko garbarstwo. Właściwie istniały u nas rzemiosła a z nich artystycznego poziomu dosięgło rusznikarstwo. Głównym przeto artykułem handlu, jedynym prawie produktem, za który napływał obcy pieniądz, było zboże. Reszta towarów dowożonych przeważnie z zagranicy, wchodziła tutaj znacznie mniej w grę. Cena tych towarów była odpowiednią do ceny rynku, na którym je sprzedawano. Wszelka przeto zmiana siły kupna pieniądza najwcześniej i najwidoczniej odbić się mogła w cenach zbożowych. Widzimy to w samej rzeczy. Aczkolwiek ceny na zboże na rynkach wewnętrznych podnosiły się wolniej, aniżeli na rynku gdańskim jednakże w drugiej połowie XVI w. podniosły się półtora-krotnie, dwukrotnie, gdziekolwiek nawet 2½-krotnie w po-

rownaniu z wysokością ich w pierwszej połowie XVI w. u nas.

Bardziej od kruszców amerykańskich przyczynił się do rozwoju wielkiej polityki europejskiej kredyt, który się wówczas właśnie po raz pierwszy rozwinął. Mimo ogromnego wzrostu, organizacja kredytu była jeszcze nader słabą a tymczasem potrzeby państwowe wciąż rosły wszędzie. Dla tego większość panujących chwyciła się psucia pieniędzy. Jest to zjawisko powszechne w XVI i XVII w. o charakterze epidemicznym. Z zamieszczeniem i upadkiem pieniądza na Zachodzie, jest nierozłącznie związany kryzys pieniądza w Polsce ku schyłkowi XVI i na początku XVII w. Przy ówczesnym kosmopolityzmie monetarnym zła moneta drobna, jakoto: saska, brandenburska, saska—nieustannie napływała do nas. Było to skutkiem braku drobnego pieniądza w Polsce. Chcąc zaradzić złemu, Zygmunt III chętnie otwierał coraz to nowe mennice, oddając je w formie przedsiębiorstwa osobom prywatnym, za pewną opłatą. Ale w miarę jak namnożyło się mennic, puszczały one w kurs coraz to lichszy pieniądz drobny. Grube monety wobec tego poszły w górę, wartość grosza spadła. Ten stan menniczy budził w społeczeństwie szlacheckim wielkie niezadowolone, spotęgowane nadto czynnikami natury czysto politycznej, dzięki wrzeniu przedrokoszwemu. Do najwyższego atoli szczytu doszło zamieszczenie w polskim systemie mennicznym w drugim i trzecim dziesiątku XVII w., kiedy rozwinął się ogromny handel spekulacyjny pieniędzmi polskimi, dzięki wyższej cenie talara w Niemczech niż w Polsce. Powstała obawa, iż Rzplta zostanie ogołoconą ze wszelkiego pieniądza. Skutkiem tego uznana została na sejmie w r. 1623 za konieczną redukcja pieniądza t. j. przywrócenie stopy pieniądza i jego ceny z przed 40 laty. Re-

dukcyja ta, będąc pobożnym życzeniem szlachty, stała się odtąd osią wszystkich polemik w literaturze ekonomicznej. Pomimo to przesilenie pieniężne u nas nie zostało zażegnane, tylko sztucznie przytłumione powstrzymaniem bicia drobnego pieniądza (1627 r.) i prawie zahamowaniem ruchu mennic. Zły stan finansów państwa stanął prawdopodobnie głównie na przeszkodzie reformom monetarnym. Rynek pieniężny polski pozostał i nadal otwartym dla nieograniczonego dopływu wszelkiej obcej monety, zarówno drobnej, jak i grubej.

Wszystkie te sprawy przedstawiała i gruntownie omawiała ówczesna literatura ekonomiczna a mimo jej charakter ulotny, bezimienny, mimo pewną stronniczość — obronę interesów czy to warstwy ziemiańskiej („Dyskurs o poprawie monety“ (1621); „Pokazanie szkód Rzpltej dla podniesienia pieniądza“ [1623]), czy to sfer kupieckich („De reductione monetali questio“, 1625), czy to urzędów mennicznych („Unvorgreifliches Bedenken eines Münzerfahrenen“ — zagadnienie pieniądza w niej poruszone stanowiło niemal jedyny bodziec dla rozwoju myśli ekonomicznej w Polsce. Jak w trzecim dziesiątku lat XVII w. na sprawę redukcji, tak znów w czwartym i piątym literatura ekonomiczna zwraca przede wszystkim uwagę na wysoką cenę złota w Polsce, w stosunku do cen srebra, na niezmierne agio skutkiem tego na srebro i na odpływ talarów za granicę, tudzież straty przy wymianie pieniędzy polskich w obcych krajach. Tak Grodwagner, broniąc interesów stanu kupieckiego, domaga się umiarkowania cen talara i dukata (1631); bezimienny „Discursus contemporaneaeus“ (1636) staje w obronie mennicy królewskiej od niesłusznych zarzutów sztucznego szrubowania wartości pieniądza; ziemiański traktacik o „Przyczynach podniesienia się wartości pieniądza“ szuka



przyczyn złęgo w wywozie złota i srebra za granicę; Starowolskiego „Dyskurs o monecie“ projektuje podnieść wartość pieniędzy polskich przez wypuszczenie w obieg nowego pieniądza srebrnego-złotego polskiego, wartości czerwonego złotego i żąda odpowiedzialnego zredukowania długów przy nowej stopie pieniądza. Wreszcie ściśle naukowy traktat „Summaryusz“ (1641) ocenia rolę pieniądza w gospodarstwie społecznem. Przeszedłszy z teoryi do praktyki prawodawstwo nasze, które z początku podejmowało się zadania regulowania cen pieniądza, porzuciło z czasem te zabiegi i pogodziło się z ceną pieniądza handlową, stosującą się do ceny kruszców. Rozwój pojęć ekonomicznych w tym okresie czasu zaznacza się przejściem się zasadami merkantylistycznymi. Szlachta utożsamia bogactwo kraju ze zbogaceniem się własnem, dzięki głównie temu, iż jest prawie jedynym eksporterem i że tylko wywóz przymnażał bogactw i pieniędzy krajowi. Cała polityka ekonomiczna jest skierowaną ku powstrzymaniu odpływu pieniądza za granicę. Stan kupiecki czuje się skrępowanym temi zarządzeniami i ograniczeniami i domaga się wolności handlu.

Przy ogólnym zalewie kraju całego obcą monetą i przy braku monety własnej za Władysława IV nie było już nawet mowy o wywołaniu obcej. Co najwyżej domagano się ustawowego jej otaksowania, jakoteż bicia drobnej własnej monety. Dopiero z początkiem panowania Jana Kazimierza, rozpoczęto bić nanowo pieniądz drobny polski i obniżono wygórowaną cenę pieniądza grubego obcego. Wkrótce jednak nastąpił potop najezdniczy, który odbił się fatalnie na systemie finansowym a zwłaszcza na monetarnym państwa. Długi zaciągnięte przez Rzpltą a głównie kilkunastomilionowy żołd zaległy, musiały znaleźć pokrycie w doraźnie otwartem źródle finansowem. Podatki na

ten cel uchwalone, nie wystarczały. Trzeba było poszukać nadzwyczajnych źródeł dochodu i sejmy znalazły je w obniżeniu waluty pieniężnej prawie wdwójnasób, w wypuszczeniu ogromnej ilości bezwartościowego pieniądza. Nastąpiły nadużycia monetarne, w których smutną sławę pozyskali Tytus Boratyni i Andrzej Tynff. Szczególniej rada tego ostatniego była zgubną dla kraju. Tynfy zdewalutowały pieniądz w Polsce w sposób tak gwałtowny, że w ciągu lat 6 między 1663 r. a 1669 kurs pieniądza spadł do połowy, podczas gdy w XVI w. trzeba było na to całego stulecia. Największe straty z upadku waluty ponosił handel. Kupcy wprost twierdzili, iż skutkiem złych pieniędzy cudzoziemcy wołą jeździć po towary surowe na Pomorze, do Inflant i do Moskwy. I ten upadek pieniądza w Polsce trwa już stale aż do początków panowania Stanisława Augusta i nowej obszernej oraz gruntownej reformy wraz z ewaluacją pieniądza przedsiębranej w r. 1766. Zepsute pieniądze srebrne krążą stale a obok nich pieniądze obce, których nie przestano dowozić mimo uniwersałów wywołujących zły pieniądz. Pod taką presją rozwija się handel polski. Nic dziwnego, że ani wywóz towarów nie mógł w XVIII w. dorównać wywozowi z lat poprzednich, ani też nie można było powstrzymać nadmiernego przywozu towarów obcych. Bilans handlowy układał się dla Polski niekorzystnie a jedną z najgłówniejszych przyczyn tego był zły pieniądz, jak również niski kurs weksłów polskich za granicą.

E. Chwalewik.

---

